

EST. 1949

Tygodnik Polski



Polish Weekly

ISSN 1443-7473

NR 06/07

Australia

27.03.2024

Rok 75 - PP0008

Cena/Price \$5.00

Incl. GST

SYDNEY • MELBOURNE • ADELAIDE • CANBERRA • BRISBANE • PERTH • HOBART • NEW ZEALAND



Wycinanka, autor: Beata Joanna Przedpeńska

Wesołego Alleluja

**ŚWIĘCENIE
WIELKANOCNYCH POKARMÓW
w ośrodkach duszpasterstwa polskiego w Wiktorii**

Wielka Sobota – 30 marca 2024

MELBOURNE

Ardeer (kościół Matki Bożej, Blanche St.) – 11.00
Bayswater (Dom Polskiego Emeryta, Percival St.) – 11.00
Essendon (Polskie Sanktuarium Maryjne, Aberfeldie St.)
od 12.00 do 15.00 – co pół godziny
Keysborough (Sanktuarium Bożego Miłosierdzia, Greens Rd.)
10.00, 11.00, 12.00
North Sunshine (św. Bernadetty, Westmoreland Rd.) – 15.00
Oakleigh (kościół Najśw. Serca P.J., Johnson St.)
od 12.00 do 15.00 – co pół godziny
Ringwood (kościół Matki Bożej, Bedford Rd.) – w Nie-
dziele Wielkanocną po Mszy świętej o godzinie 8.00
Richmond (kościół św. Ignacego, Church St.)
od 12.00 do 14.00 – co pół godziny
St. Albans (kościół Najśw. Serca P.J., Winifred St.) – 10.00
Yarraville (kościół św. Augustyna, Somerville Rd.) – 13.00

GEELONG

W kościele NMP Anielskiej (Yarra St. Geelong) – 13.00

**CEREMONIE WIELKOTYGODNIOWE
W WIKTORII W JĘZYKU POLSKIM**

Polskie Sanktuarium Maryjne w Essendon

Wielki Czwartek, 28 marca – godz. 19.00
Wielki Piątek, 29 marca – godz. 15.00
Wielka Sobota, 30 marca – godz. 19.00

Kościół Matki Bożej w Ardeer

Wielki Czwartek, 28 marca – godz. 19.00
Wielki Piątek, 29 marca – godz. 18.00
Wielka Sobota, 30 marca – godz. 17.00

Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Keysborough

Wielki Czwartek, 28 marca – godz. 19.00
Wielki Piątek, 29 marca – godz. 15.00
Wielka Sobota, 30 marca – godz. 19.00

Kościół św. Augustyna w Yarraville
Wielki Piątek, 29 marca – godz. 11.30 - Droga Krzyżowa

**PROCESJE REZUREKCYJNE
w Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego
31 marca 2024**

Ardeer – po liturgii Wielkiej Soboty
Essendon – godzina 9.30
Keysborough – po liturgii Wielkiej Soboty
Richmond – godzina 12.00
Oakleigh – godzina 17.00

Poniedziałek Wielkanocny – 01 kwietnia 2024
w większości polskich ośrodków duszpasterskich liturgia Mszy św.
jak w każdą niedzielę; w Ardeer o 9.00, a w St. Albans o 10.30

* * *

Duszpasterze Polscy z Wiktorii składają świąteczne życzenia, Polskim Organizacjom Społecznym oraz ich członkom, Redakcji i Czytelnikom Tygodnika Polskiego, Redaktorom i słuchaczom radia 3ZZZ i SBS, internautom oraz wszystkim Rodakom w Australii. Niech Chrystusowe zwycięstwo nad śmiercią, nienawiścią i przemocą owocuje pokojem na świecie, a w naszych sercach niezmaconą radością i nadzieją życia, które się nie skończy śmiercią.

**Słowo bpa Piotra Turzyńskiego
Delegata Konferencji Episkopatu Polski ds.
Duszpasterstwa Emigracji Polskiej
skierowane do Polonii i Polaków za granicą
z okazji Świąt Wielkanocnych A.D. 2024**

**Chrystus jest Mocą i Mądrością
Bożą! (1 Kor 1, 24)**

Kochani Rodacy!

Celebруем Święta Wielkanocne, które stanowią istotną treść naszej wiary. Syn Boży bierze na siebie nasze grzechy i składa w ofierze siebie samego na przebłaganie za nieprawość świata. To są święta wielkiej miłości i wielkiej nadziei.

Miłość i odpowiedzialność

W Wielkim Poście, rozważając mękę naszego Pana Jezusa Chrystusa na Drodze Krzyżowej i na Gorzkich Żalach, stawialiśmy pytanie, dlaczego w Bogu jest takie poświęcenie i taka determinacja. Odpowiedzią jest miłość. Można tu zacytować fragment wiersza św. Jana Pawła II: „miłość mi wszystko wyjaśniła”. Wierzymy w Boga, który nie jest obojętny, słyszy nasze jęki, widzi nasz ból i nasze tęsknoty. O takim Bogu mówi Biblia i takiego Boga pokazuje Jezus Chrystus w swoich słowach i czynach.

W świecie, w którym odmienia się przez różne przypadki słowo „miłość”, krzyż Chrystusa i Jego męka pokazują nam prawdziwy i niekwestionowany wymiar miłości. Ukrzyżowany Chrystus jest, jak napisze św. Paweł, „Mądrością Bożą”. W Nim słowo „kochać” oznacza wziąć odpowiedzialność za tego, kogo się kocha. Chrystus, według zapowiedzi Izajasza, „obarczył się naszym cierpieniem, dźwigał nasze boleści” (Iz 53, 4) i w ten sposób „w Jego ranach jest nasze zdrowie” (Iz 53, 5). Wydaje się, że dzisiejszy świat cierpi na ucieczkę od odpowiedzialności, bo łatwiejsza jest obojętność i zamknięty w sobie indywidualizm.

Dzisiaj miłość małżeńska i rodzicielska, macierzyńska i ojcowska, miłość do Polski oraz miłość do całego pięknego dziedzictwa chrześcijaństwa, do Kościoła wymagają wzięcia odpowiedzialności, odwagi oraz zaangażowania.

Drodzy Rodacy, niech Wam nie będzie obojętne wychowanie i los następnego pokolenia, niech Wam nie będzie obojętna polska tożsamość i niech Wam nie będą obojętne chrześcijańskie wartości w życiu społecznym i w naszej cywilizacji. Trzeba stanąć w obronie życia nienarodzonych, w obronie świętości małżeństwa i w obronie Ewangelii.

Ofiara

W Święta Paschalne uświadamiamy sobie, że zbawienie świata dokonuje się drogą Krzyża. Chrystus uczy nas, że

to co wielkie, i miłość sama, wymagają zaparcia się siebie samego, cierpienia i ofiary. To jest mądrość, od której świat chciałby odejść. Rozumiemy wszyscy, że nie chodzi tu o cierpiętnictwo, ale o realizm życia. Po prostu rzeczy cenne muszą kosztować. Jeśli człowiek się tego nie nauczy, nie zgodzi się na trud budowania małżeństwa i rodziny, nie zgodzi się na własną wielkość. Ojcowie Pustyni z IV wieku mówili: „jeśli człowiek chce być niewolnikiem, łańcuch się zawsze znajdzie”. Żeby nie być niewolnikiem własnych pragnień, namiętności i własnego „ja”, trzeba zgodzić się na walkę, na trud i cierpienie. Ofiara Chrystusa na krzyżu, którą celebруем w każdej Mszy Świętej, uczy nas pięknej sztuki bycia człowiekiem. Ta ofiara Chrystusa daje nam moc do zwyciężania tego, co zniewala.

Nadzieja

Kiedy nasz Zbawiciel umierał na Krzyżu, wydawało się, że cały świat się zawałił i pogryził w ciemności, ale po trzech dniach doświadczyliśmy wielkiej światłości i radości ze zwycięstwa dobra i miłości. Zmartwychwstanie Chrystusa niesie nadzieję. W naszym życiu i w historii świata może się wydawać czasem, że siły zła przeważają, jednak Ewangelia każe nam „mieć nadzieję nawet wbrew nadziei” (Por. Rz 4, 18). Zwycięstwo należy ostatecznie do Boga, który jest wszechmocny, nieobojętny na los ludzi i miłosierny. Ta nadzieja w Chrystusie stanowi wielkość chrześcijaństwa. Takiej nadziei nie może dać nikt i nic na świecie.

W naszych parafiach polskich i polonijnych przeżywamy peregrynację relikwii bł. Rodziny Ulmów. W momencie śmierci wydawało się, że są przegrani, że pójdą w zapomnienie historii, a tymczasem oni są zwycięzcami. Ci Samarytanie z Markowej cieszą się niebem, dają nam przykład życia Ewangelią w ciemności świata i orędują za nami.

Życzę Wam, żebyście pomimo najtrudniejszych nawet chwil mieli zawsze nadzieję w Chrystusie, byście doświadczyli Jego mocy i pośród świata chlubilili się Jego mądrością.

Z pasterskim błogosławieństwem

**Bp Piotr Turzyński
Delegat KEP ds. Duszpasterstwa Emigracji
Polskiej**

Warszawa, 5 marca 2024 r.

Tygodnik Polski

19 Carrington Drive, Albion Vic 3020

Tel.: (03) 8382 0217, www.tygodnik-polski.com.au

E-mail Biura: strzelecki2@optusnet.com.au

E-mail Redakcji: polishweek@optusnet.com.au

Redaktor naczelna – Magdalena Jaskulska

Redaktor techniczna – Wanda Kozłowski

Koordinator biura – Jagoda Korczak

Stali współpracownicy: Marek Baterowicz, Jerzy Leszczyński, Krzysztof Lięga, Marianna Łacek, Beata J. Przedpeńska, Janusz Rygielski, Andrzej Siedlecki, Andrzej Zbiegniewski.

Wydawca/Publisher: Strzelecki Holding Pty. Ltd.

ACN 077928477; **ABN 30077928477**

Uprzejmie informujemy, że opłaty za prenumeratę można wносить czekiem lub Money order oraz przelewem na rachunek bankowy

Strzelecki Holding Pty Ltd.

BSB 033-000, Acc. numer 45 22 43.

Nie ma możliwości zapłaty kartą kredytową.

Powyższe dotyczy także opłat za ogłoszenia.

„Tygodnik Polski” ukazuje się co dwa tygodnie.

Biuro „Tygodnika Polskiego”

czynne jest w poniedziałki i piątki od godz. 10.00 do 13.00.

Prenumerata

roczna \$150.00 półroczna \$100.00 kwartalna \$85.00

Azja/Pacyfik (N.Zelandia) \$210.00; reszta świata \$250.00

Ogłoszenia drobne (do 30 słów) – \$27.50 (inc. GST).

Ogłoszenia większe – koszt za każdy cm wysokości ogłoszenia zależy od szerokości kolumny: 4 cm – \$7.70, 6.2 cm – \$11, 8.4 cm – \$15.40

(inc. GST). Zniżki na ogłoszenia zamieszczane przez kwartał – 15%,

pół roku – 25%, rok – 33%. Książka Telefoniczna „TP” (2 linijki) – \$132

(inc. GST) rocznie.

• Zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów i poprawek w nadsyłanych tekstach • Teksty publikowane na łamach Tygodnika wyrażają prywatne opinie ich autorów i nie muszą być zgodne z opinią redakcji lub wydawcy • Nie ponosimy odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń oraz za jakość reklamowanych towarów i usług • Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone • Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych.



Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2023



Projekt „Polska Platforma Medialna Świat” realizowany przez Fundację Wolność i Demokracja.

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy do Państwa rąk najnowsze wydanie „Tygodnika Polskiego”.
Jak zawsze tak i teraz staraliśmy się wybrać do tego numeru jak najbardziej interesujące teksty. I też, jak to często bywa na naszych łamach, poważne artykuły przeplatają się z lżejszymi tematami.

Polecamy nasze stałe rubryki, w tym felietony dr. Marka Baterowicza i p. Krzysztofa Ligeży, rubrykę p. Beaty Joanny Przedpełskiej - Echa Warszawskich Salonów artykuły pióra p. Andrzeja Zbiegniewskiego i p. Jerzego Leszczyńskiego oraz Kącik literacki pod red. dr Elżbiety Koło.

W tym wydaniu znajdują Państwo ostatnią część mini cyklu „Jak Toruń został polskim miastem” autorstwa p. Riho Okagami-Siedleckiej i p. Andrzeja Siedleckiego oraz impresje Autorów ze spotkań z Polonią melbourneską.

Wśród pozostałych naszych polonijnych informacji polecamy relację z Biegu „Tropem Wilczym” w Perth, którą przedstawiła p. Justyna Tarnowska, artykuł o obchodach Roku Pawła Edmunda Strzeleckiego w Wielkopolsce p. Marysi Thiele, podsumowanie Finału WOŚP przygotowane przez p. Anię Tomala czy wieści z Klubu Polonia autorstwa p. Piotra Marmura.

Ufamy, że znajdą Państwo coś dla siebie.

Wyrażamy wdzięczność wszystkim naszym drogim Czytelnikom, którzy od lat wspierają „Tygodnik” moralnie i popierają go finansowo. Dziękujemy Autorom, Współpracownikom, Wolontariuszom, dystrybutorom i wszystkim ludziom dobrej woli.



Zmartwychwstanie

Henryk Biłka

Nad ranem...
czuwali strażnicy
nad zmarłym Panem,
Posłani od Piłata,
by Stwórcy świata
uczniowie nie wykradli.
Czuwali wsparci na broni,
zmęczenia i trwogi pobladli,
czekali aż dzień się odsłoni.

I oto:

Jakby ktoś ogień rozpałił
nad grobu grotą!
Kamień grobowy się odwalił!
Powietrze od huków zadrżało!
Przy grobie anieli ukłękli
prześliczne Chrystusa ciało
nad słońce jaśniejsze.
Stał Chrystus
Zmartwychwstały!

Grzeszniku,
strażniku Chrystusa w grobie,
nie lękaj się!
Niech zmartwychwstanie
w jasności!
W tobie!



Redakcja „Tygodnika Polskiego” życzy wszystkim Czytelnikom i Współpracownikom, Duszpasterzom i Siostrzom Zakonnym, Sympatykom, Dystrybutorom naszej gazety zdrowych i radosnych Świąt Zmartwychwstania Pańskiego, smacznego jajka i chociaż symbolicznie mokrego dyngusa.

Dziękując, że są Państwo z nami życzymy
Wesołego Alleluja!

Magdalena Jaskulska
wraz z zespołem redakcyjnym



Palma, która czyni cuda



Wileńska, kurpiowska, nowosądecka - palma wielkanocna występuje w różnych wzorach. Powiedzieć o niej, że jest dekoracją w czasie Wielkanocy, a nawet jednym z najważniejszych w polskiej tradycji symboli tego święta, to za mało. Coraz rzadziej jednak umiemy odczytywać bogactwo jej znaczeń.

Niezależnie od tego, z którego regionu w Polsce pochodzi ani jaki ma na nią pomysł wykonawca - każda tradycyjna polska palma wielkanocna ma kilka podstawowych elementów. Pierwszy musi mieć zielony kolor. Zwykle są to gałęzie, która już wypuściły liście albo dają gwarancję, że zaraz się nimi pokryją. Najczęściej tę rolę pełnią łodygi wierzby z tak zwanymi kotkami, czyli miękkimi, srebrzystymi pąkami. Noszą one jeszcze inne regionalne nazwy, na przykład bagniatka, ale najpopularniejsza to bazie. Zamiast gałązek wierzbowych używa się też brzoźowych albo krzewu malin czy porzeczek. Obecność zielonego koloru zapewniają palmie dające rośliny, które nie tracą go nawet zimą: bukszpan, borówka, cis, tuja.

Drugim bazowym elementem polskiej palmy wielkanocnej są kwiaty. Wczesna wiosna, kiedy zwykle wypada Wielkanoc nie daje szans na użycie kwiatów z ogródków, łąk czy pól. Dlatego zastępują je zrobione z bibuły albo innych trwałych materiałów oraz suszone i do tego często barwione.

Bazie i inne, ozdobne części palmy trzeba zamontować wokół prostego kijka, patyczka lub innego trzonu będące-

go jakby kręgosłupem całej konstrukcji. Wysokość tego trzonu, sposób zaplatania ozdób oraz zastosowanie dodatkowych elementów pozwalają zakwalifikować palmę do regionu Polski, z którego pochodzi.

Sz szczególnie rozpowszechniony jest u nas typ palmy wileńskiej. Po drugiej wojnie światowej przenieśli go do Polski w nowych granicach rodacy z Wileńszczyzny, którzy musieli opuścić swoje domy. Podkreślali wówczas, że nie wplatają palm, ale je wiją, ponieważ poprzez odpowiednie wyginanie elementów wokół trzonu dążą do uzyskania zwartego, walcowatego kształtu. Palmy wileńskie mają około czterdzieści-pięćdziesiąt centymetrów. Barwione, suszone kwiaty (suchotniki, krwawniki) i trawy (tymotki), cząstki mchu tworzą na nich geometryczne układy. Całość wieńczy mietlica - roślina wiechowata z kwiatami w postaci kłosów.

Dwa regiony Polski słyną z wyjątkowych palm wielkanocnych. Mieszkańcy Kurpi Zielonych, zwłaszcza gminy Łyse w powiecie ostrołęckim oraz kilku miejscowości w województwie małopolskim: Lipnicy Murowanej, Rabki, Limanowej wykonują palmy-giganty. Dwu-, trzymetrowe to standard, zdarzają się dziesięciometrowe, a do historii przechodzą rekordzistki, osiągające nawet powyżej trzydziestu pięciu metrów. Do ich wykonania potrzebne są zapasy materiałów, przestrzeń, czas i duże umiejętności. W Niedzielę Palmową w obu tych regionach organizowane są kon-

kursy na najpiękniejsze i najwyższe palmy. W 2024 roku w Lipnicy odbędzie się już 65. edycja, w Łysych - 52. To wielkie, barwne święto, które przyciąga wielu turystów. Konkursom towarzyszą koncerty kapel ludowych i orkiestr strażackich, pokazy rękodzieła i degustacje lokalnych potraw.

„Kręgosłupem” palmy kurpiowskiej jest pień jodły lub świerku. Wokół niego oplecione są rośliny i kwiaty z bibuły oraz wstążki, co daje efekt kwietnego słupa. Natomiast palmy z południa Polski mają kilka pięt: pierwsze z pędu gałęzi, drugie - z bazi, jedliny, kwiatów i wstążek, na trzecim stawia się krzyżyk, wykonany także z naturalnych materiałów.

Dla zdrowia, urody i odwagi

Do dziś Polacy obdarzają palmy wielkanocne szacunkiem, tym bardziej, jeśli zostały pobłogosławione w kościele. Zajmują ważne miejsce w domach i po świętach nie można ich wyrzucić. Zasuszone przechowuje się do następnej Wielkanocy. Wierzący często odnoszą je do kościoła. Po pewnym czasie zostaną spalane na przykościelnym podwórzu, a powstały popiół posłuży do posypania głów w Środę Popielcową. Jeszcze w XIX stuleciu w Polsce na wsiach dodawano go do ziaren zbóż wysiewanych wiosną lub w dniu Świętego Rocha, czyli 16 sierpnia, rozżarzonym popiołem okadzano zwierzęta gospodarskie.

Dawniej, kiedy polscy chłopcy bardziej niż dziś byli zależni od zmian w pogodzie i żyli według cyklu pór roku, przypisywali palmom wielkanocnym wiele rytualnych funkcji związanych z

ochroną ludzi, domostw i dobytku. Powszechną praktyką było wzajemne uderzanie się pobłogosławionymi palmami, co miało zapewnić wszystkim zdrowie, dodatkowo dziewczętom urodę, chłopcom - odwagę. Połykano też baziowe „kotki”, aby uchronić się przed chorobami gardła. Palma zatknięta za obraz z wizerunkiem Świętej Agaty działała jak piorunochron. Krzyżyki ze szczytu palm były mocowane nad drzwiami do domu i wejściem do obory. A kiedy krowy po raz pierwszy w sezonie przepędzono na łąki, kładziono krzyżyki na drogę. Wyściełano też nimi gniazda ptaków, wkładano je do uli, wplataną w sieci rybackie.

Palmy wielkanocne, obok pisanek, figurek baranków i mazurków rzeczywiście należą do najważniejszych symboli polskiej Wielkanocy. Palmy jednak wyjątkowo przemawiają do wyobraźni. Poprzez zielony kolor przypominają o odradzaniu się, o ciągłości życia. Kolorowe, wielorakie elementy i misterne wzory zachęcają do radości, doceniania piękna natury i ludzkich talentów.

Tylko na Wileńszczyźnie do dziś wije palmy ponad trzysta osób. Centrum tamtejszego palmiarstwa jest wieś Sude-rwa, gdzie przed drugą wojną światową mieszkał rektor Uniwersytetu Stanisława Batorego w Wilnie, filozof kultury i idei, wybitny Polak, profesor Marian Zdziechowski. Takiej klasy patron na pewno czuwa nad ciągłością tradycji.

RECYDYWA I ZMIERZCH

Im gorsza władza, tym gorsza policja. Tę starą prawdę odkrywamy dzisiaj codziennie, zwłaszcza podczas brutalnych interwencji stróży „porządku”, obiektywnie opisanych tylko w niezależnych mediach. W „uśmiechniętej” Polsce szaleją sadyści Tuska, a litera Z na kaskach policjantów kojarzy się teraz nie tylko z ZOMO... W grudniu 2023 r. powrócił z impetem nowy „ład”, porównywalny z pierwszą koalicją PO-PSL, a nawet z okresem PRL-u, zważywszy na to, że na święcznikach tuskowej ferajny widzimy dygnitarzy, oficerów i prezydentów TV z lat stanu wojennego. A zatem recydywa „praworządności” z tamtych czasów... A blogerzy słusznie zwracają też uwagę na to, że Polska jest podzielona mentalnie na dwie oddalające się od siebie populacje. Dwie populacje, które używają dwóch różnych języków, choć mówią po polsku. W nowym odcinku („Dwie Polski – dwa języki”, 13 marca br.) pan Marcin Bogdan draży dalej ten temat na portalu solidarni2010.pl dodając z żalem, że byłoby lepiej, gdyby Polska była zjednoczona wokół idei niepodległości/suwerenności. Ponownie powraca więc temat podziału Polski na dwa jakby „plemiona”, ale jednak wypada przypomnieć, że prekursorem był na tym polu prof. Ryszard Legutko w „Eseju o duszy polskiej” (2008). To on zwrócił uwagę na swoisty „naród” peerelczyków, który wprawdzie narodem nie jest, lecz dominował w okresie PRL-u, a potem w latach III RP ponownie dążył do hegemonii i nieraz grał rolę okupanta Polski. Prof. Legutko też snuł rozważania nad degradacją polszczyzny wskutek panowania peerelczyków i

ich kształtowania „kultury”. Roztropna i jakże potrzebna analiza pana Bogdana ukazuje się w czasie nowej okupacji Polski, pod rządami nowych pokoleń peerelczyków. A degradacja polszczyzny nawet się pogłębiła. Sytuacja jest poważna, od grudnia trwa demontaż III RP, a dokonuje tego niedawna totalna opozycja, zwana już koalicją 13 grudnia, która jakby zapomniała, że w 1989 r. wybraliśmy demokratyzację, kończąc z ustrojem totalitarnym. Zbyt wielu peerelczyków, a nawet starych służb uchowało się jednak w tej niedojrzałej III RP i ich zamiarem jest przywrócić dawne kryteria władzy, nie uznającej demokracji. I w tym stylu trwa demontaż Polski... Koalicja 13 grudnia – po objęciu „rządów” – robi wszystko, by przywrócić jakby dyktaturę z PRL-u. Ba, nawet obdarowują się medalami, oto Adam Bodnar wyróżnił teraz prof. Wojciecha Sadurskiego. Innymi słowy, fanatyczny peerelczyk odznaczył fanatycznego peerelczyka, a obaj od lat depczą to, co Polacy zdołali osiągnąć w ramach głoszonej demokracji, choć limitowanej przy okrągłym stole i potem często także... A od trzech miesięcy demolowanej, na naszych oczach rozsypuje się nasza z takim mozołem budowana demokracja... A ci co ją niszczą, zacierają ręczki i przytupują z uciechy! O to im chodzi, w końcu wywodzą się z Platformy Obywatelskiej, zakładanej przez służby generała Gromosława Czempieńskiego, starego szpiega PRL-u... (patrz tom „Resortowych dzieci. Służby”, W-wa, Fronda 2014, str. 37/8). Sytuacja jest poważna, wygląda na to, że rację miał Zbigniew Herbert, gdy widział powrót komunistów... I kto

zatrzyma ten marsz lewackich obkurantów? A którzy nazywają siebie „liberalnymi Europejczykami”? Ich kadry dorwały się do władzy wyłącznie dzięki wpływom UE, a komisarz Jurowa głosi, że zmiany w sądach i prokuraturze konieczne są dla dobra ludzi, gdy naprawdę służą one amatorom korupcji, są rozsądnymi bezprawia. Opór wobec tych zmian (czytaj: psucia prawa) nie ustępuje i bodnaryzacja traci swój impet, a uczeni prawnicy, ustanowieni kiedyś przez PiS, próbują ocalić zręby państwa prawa. I trzeba je ratować ze wsparciem Prezydenta RP, gdyż Polskę dopadła recydywa choroby PRL-u, czyli stanu bezprawia. Trzeba zatrzymać destruktorów, którzy kierują się cyniczną instrukcją Tuska: „prawa mają wyrażać nasze rozumienie praworządności” (!). Jest to prosto apel o ich manipulację, o zupełne rozstrojenie wymiaru sprawiedliwości! Takiej chorobie Temidy musi zapobiec doktor prawa, który szczęśliwie jest Prezydentem owej demolowanej III RP. A postępujący paraliż państwa nie powinien umknąć oku doktora... Nie możemy pozwolić na demontaż III RP powołanej w 1989 r. wspólnym głosem... Uniestwienie praworządności – do czego zmierza Tusk na zlecenie UE – oznacza też likwidację państwa polskiego, które powinno istnieć i służyć obywatelom. Beneficjentami tego stanu rzeczy byłoby tylko aferzyści i oligarchowie. Celem bodnaryzacji jest natomiast demontaż Polski wraz z prawem do przechowywania pamięci narodowej, edukacji i nauki historii ojczyzny, a zatem wynarodowienie idących pokoleń. Ataki na naszą historię, wymazywanie jej jak w powieści Orwella „1984” („Cała Historia była tabliczką, wycieraną do czysta i zapisywaną ponownie, ilekroć zachodziła potrzeba”) nagle stały się programem ko-

alicji 13 grudnia! A ataki na pamięć o bohaterach i żołnierzach niezłomnych były przecież w repertuarze PRL-u! Zatem wracamy do stalinizmu? I mamy cierpieć na recydywę tej choroby? Toż czas najwyższy ogłosić alarm dla Polaki i Polaków, a także ratować po prostu demokrację, budowaną cierpliwie przez PiS wbrew awanturom peerelczyków. Z recydywą choroby nadchodzi zmierzch Polski, a wprowadzenie euro byłoby też ciosem dla polskiej suwerenności, także ekonomiczną katastrofą. Polska waluta zostanie sprzedana tak jak kiedyś za bezcen przehandlowano polskie stocznie i zakłady. Litwa, Słowacja i Chorwacja zapłaciły wysoką cenę za przyjęcie euro. Platforma z PSL miały już plan wprowadzenia euro, lecz na szczęście zwycięstwo PiS-u w 2015 zapobiegło tej klęsce. Więcej o tym w rozmowie Leszka Sosnowskiego z Ryszardem Czarneckim w nr 2 „Wpisu” br. pod dramatycznym tytułem: „Za kilka lat zaczniemy utrzymywać Unię Europejską”, bo nasza składka członkowska do Brukseli przekroczy kwotę, którą stamtąd dostajemy. O ile dostajemy... Centralizacja UE to gilotyna nad Europą kiedyś wolnych narodów. A gdy przypomnieć program Platformy Obywatelskiej sprzed lat i lansowanie samorządów to jest de facto projekt oddolnego rozbioru Polski, landyzacja na modłę niemiecką. Federacja regionów-landów, co do których decyzje zapadałyby w Brukseli, Berlinie, ale nie w Warszawie! W obliczu idących niedługo wyborów do samorządów Polacy powinni być świadomi zagrożeń związanych z tym scenariuszem likwidacji polskiego państwa, dokonanej niezwykle prostym trickiem „landyzacji”. Rycerze śpią pod Tatrami?

Marek Baterowicz

Katyńska blizna

Dr Karol Nawrocki

Wiosną 1940 roku Sowietci zgładzili bez wyroku sądowego kwiat polskiej inteligencji. Dziś rosyjskie władze chciałyby widzieć w tej zbrodni pospolite przestępstwo, które podlega przedawnieniu

Znajomi ostatni raz widzieli go na stacji kolejowej w Bydgoszczy. Józef Dróbka kazał przekazać rodzinie, że ma się dobrze i do domu wróci tak szybko, jak to będzie możliwe. Był wśród tysięcy Polaków zmobilizowanych późnym latem 1939 r. Mieli bronić ojczyzny przed niemiecką napaścią, ale 17 września – w trzecim tygodniu wojny – od wschodu uderzył na kraj jeszcze jeden potężny wróg: Armia Czerwona. Dróbka znalazł się w gronie tych, którzy dostali się do sowieckiej niewoli.

Dwa totalitarne reżimy, wbrew różnicom ideologicznym złączone w tym czasie wspólnym paktem, od początku siały terror na podbitych ziemiach polskich. Symbolem krwawej okupacji niemieckiej są do dziś kominy Auschwitz i innych obozów zagłady, ale też doły śmierci w miejscach masowych egzekucji, takich jak Palmiry czy Piaśnica. Z brutalną okupacją sowiecką nieodłącznie i najmocniej kojarzy się zaś słowo „Katyń”.

„Smutny dzień – nic nie wiadomo, co w domu” – notował w Wigilię 1939 roku jeden z Polaków osadzonych w sowieckim obozie w Kozielsku. Tam i w Starobielsku przetrzymywano oficerów Wojska Polskiego. Do Ostaszkowa skierowano głównie policjantów, zandarmów, funkcjonariuszy Straży Wię-

ziennej, Korpusu Ochrony Pogranicza i Straży Granicznej (wśród tych ostatnich także Józefa Dróbkę). Polskimi patriotami szybko zapełniały się też więzienia tzw. Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy – jak Sowietci nazywali wschodnie ziemie II Rzeczypospolitej, bezprawnie przyłączone do ZSRS.

Los tych ludzi został przesądzony na początku marca 1940 roku. Wtedy to Ławrientij Beria, szef osławionego NKWD, w notatce do sowieckiego przywódcy Józefa Stalina zasugerował rozstrzelanie – bez żadnego sądu – 14,7 tys. polskich jeńców wojennych i 11 tys. więźniów. Tłumaczył, że są to „zdeklarowani i nierokujący poprawy wrogowie władzy sowieckiej”.

W tej diabelskiej argumentacji była pewna logika. Ludzie, których postanowił zgładzić Beria, w minionym dwudziestoleciu wiernie służyli państwu polskiemu i z pewnością nie pogodzili się z utratą niepodległości.

Dróbka jeszcze w roku 1920 zaciągnął się do Wojska Polskiego. W szeregach 17. Pułku Ułanów Wielkopolskich wzięty wówczas udział w wojnie z bolszewikami, którzy „po trupie białej Polski” chcieli nieść Europie swą krwawą rewolucję. Gdy najazd udało się odeprzeć i nastał pokój, Dróbka służył w Straży Celnej, a następnie Straży Granicznej. „Gorliwy, obowiązkowy, pilny, służbę wykonuje z poświęceniem” – czytamy w opinii wystawionej mu przez przełożonego. W roku 1939 pracował w drużynie sztabowej Komendy Obwodu SG w Chojnicach. Miał żonę, troje dzieci – i trzypokojowe mieszkanie. Wojna przerwała to stabilne życie.

„Był płacz, ale i nadzieje szybkiego powrotu” – tak jego wnuk Zdzisław pisał po latach o chwili rozstania dziadka

z rodziną. Dróbkowie, jak wielu ich rodaków, wierzyli w pomoc zachodnich sojuszników Polski: Francji i Wielkiej Brytanii. Ta jednak nie nadeszła – ani we wrześniu 1939 roku, ani w kolejnych miesiącach.

Stalin i jego najbliżsi współpracownicy zatwierdzili tymczasem diabelską propozycję Berii. 3 kwietnia 1940 roku rozpoczęło się „rozładowywanie” obozów polskich jeńców w ZSRS. Osadzeni w Kozielsku byli wywożeni do Katynia pod Smoleńskiem i tam mordowani. Jeńców ze Starobielska zabijano w Charkowie, a tych spod Ostaszkowa – w piwnicach siedziby NKWD w Kalininie (obecnie to Twer).

Rozstrzeliwanie rozpoczynano wieczorem, a kończono o świcie – zeznał potem Dmitrij Tokariew, w 1940 r. szef Obwodowego Zarządu NKWD w Kalininie. Zapamiętał on, że w jednym z pomieszczeń sprawdzano personalia, a następnie daną osobę skuwano i prowadzono do celi śmierci. Tam ofiara ginęła od strzału w tył głowy. Zwłoki układano na ciężarówkach i rankiem wywożono w pobliże miejscowości Miednoje, gdzie na skraju lasu był już przygotowany dół, mogący pomieścić 250 zwłok. Właśnie tak musiała wyglądać ostatnia droga Józefa Dróbki, zamordowanego 27 kwietnia.

Równoległe w Kijowie, Mińsku i innych miejscach trwała zagłada polskich więźniów. Dziś sowiecki mord na Polakach z wiosny 1940 roku nazywany jest powszechnie zbrodnią katyńską. Wiadomo, że łącznie pochłonęła ona życie co najmniej 21 768 osób.

Nie przypadkiem mówimy, że w Katyniu został wymordowany kwiat polskiej inteligencji. Na liście ofiar znajdziemy bowiem wysokich rangą oficerów Wojska Polskiego i innych służb mundurowych, księży, ale też ludzi, którzy w cywilnym życiu byli lekarzami, inżynierami, prawnikami, nauczycielami czy

urzędnikami. Trzeba jeszcze dodać, że sowieckie represje spadły też liczne rodziny pomordowanych. Zostały one deportowane w głąb ZSRS, na „nieлюдzką ziemię”.

Zbrodnia Katyńska miała na zawsze pozostać tajemnicą. Jednak w kwietniu 1943 roku Niemcy – którzy od prawie dwóch lat prowadzili wojnę przeciwko Sowietom i zdążyli posunąć się daleko na wschód – ogłosili światu odkrycie w Katyniu zwłok polskich oficerów. Na miejsce zbrodni zaprosili Międzynarodową Komisję Lekarską. Choć sami popełniali nie mniej straszne zbrodnie i również zacierali ich ślady, w przypadku Katynia mieli interes w ujawnieniu prawdy.

Stalin szedł w zaparte. Władze sowieckie powołały własną pseudokomisję – tak zwaną Komisję Burdenki. Jeszcze w czasie wojny stwierdziła ona, że zbrodni katyńskiej dokonali w 1941 roku Niemcy. Zarzut taki znalazł się również w akcie oskarżenia przeciwko głównym niemieckim zbrodniarzom wojennym sądzonym w Norymbardze. Tak rodziło się i umacniało kłamstwo katyńskie.

Przez kolejnych kilkadziesiąt lat obowiązywało ono nie tylko w Związku sowieckim, lecz również we wszystkich krajach Europy Środkowo-Wschodniej, które u schyłku II wojny światowej znalazły się w strefie wpływów ZSRS. Na fundamencie kłamstwa katyńskiego budowana też była komunistyczna władza w Polsce, przyniesiona na sowieckich bagnietach. Każdy, kto próbował głosić prawdę o Katyniu lub choćby jej dociekać, był narażony na represje.

Bliscy Józefa Dróbki długo nie wiedzieli, co się z nim stało. Sąd Grodzki w Chojnicach kilka lat po wojnie uznał go za zmarłego, a jako datę zgonu przyjął... 9 maja 1946 roku. „Rodzina mówiła półsłówkami bądź milczała”

Dok. na str. 6

Droży Czytelniczy
W ubiegłym wydaniu „Tygodnika Polskiego” opublikowaliśmy sprawozdanie ze spotkania p. Riho Okagami-Siedleckiej i p. Andrzeja Siedleckiego z melbourneńską Polonią. Poniżej relacja z tego spotkania widziana oczami p. Siedleckiego wraz z podziękowaniem Autorów dla organizatorów wydarzenia.

Do publikacji w kolejnych wydaniach naszej gazety czekają następne artykuły - echa wizyty pp. Siedleckich Melbourne, w mini cyklu „Spotkania ze sztuką”.

Redakcja

Nasze spotkania w Melbourne

Mój Tata mówił: - „co masz zrobić jutro, zrób dziś”, więc posłuszny radzie Tatusia już następnego dnia po powrocie z Melbourne siadłem do komputera, by „dać świadectwo prawdzie”. Na krótkie wakacje wybraliśmy się do Melbourne, bo uważa się, że to miasto bardziej „europejskie” i kulturalnych rozrywek moc!

Byłem tu już trzy razy, raz na występach z kabaretowym z artystą Pietrzakiem, potem z moją żoną i z prezentacją sztuki Karola Wojtyły „Przed sklepem Jubilera”. Niestety, nigdy nie miałem czasu, by zwiedzić galerię i zobaczyć miasto, więc teraz nadarzyła się okazja, by trochę pozwiedzać. Ale że natura ciągnie wilka do lasu, więc przy okazji chciałem te wakacje wykorzystać, by razem z żoną zaprezentować nasze filmy polonijnej publiczności, a wierząc jeszcze, że nie „samym chlebem i kiełbasą człowiek żyje”, recytować wiersze naszych znakomitych poetów. Bez donacji, bez datków, bez biletów wstępu - *pro publico bono!*

I dzięki życzliwości Towarzystwa Polskiej Kultury w osobach „szefowej” Stefani Chmiel, Grzegorza Machnackiego, dr. Andrzeja Markiewicza i Marioli Stanikowskiej, wiceprezeski Domu Polskiego „Syrena”, duszpasterza, O. Mariusza Han z Polskiego Sanktuarium Maryjnego, reklamie „Tygodnika Polskiego” oraz radia SBS, nasze spotkania udały się w pełni. Serdecznie dziękujemy!

Pierwsze spotkanie w „Syrenie”, które było zaplanowane na 2 godziny, trwało ponad trzy, bowiem widzowie po poezji i filmach zadawali nam ciekawe pytania, a byli też zainteresowani książką Riho o historii Polski, więc żona, którą ublażałem, bo nie lubi występować, w przeciwieństwie do mnie skazonczy zawodem, też miała swoich słuchaczy i odpowiadała na pytania. Nie mogła uciec już ze sceny. Pilnowałem! Potem

do z naszymi nagrodzonymi filmami na Festiwalu Polonijnym „Losy Polaków”.



Klub Polski Albion. Jan Kutypa, Andrzej Siedlecki, Edward Szczepański



DP Syrena. Pan Andrzej Siedlecki z prowadzącą spotkanie Mariolą Stanikowską

były wyrazy serdeczności od widzów i wybieranie prezencików w postaci wi-

klub zaofero- wał przyjazną atmosferę, kawę i ciacho! Czyli było pysznie! Jerzy Krysiak, filantrop, pisarz, aktor z zamiłowania, energicznie działający „w kulturze”, po występie w Domu Polskim „Syrena” napisał na Facebooku:

„Spotkanie z Andrzejem Siedleckim i Riho Okagami było niezwykłym, niezapomnianym doświadczeniem. Występ Andrze-

publiczność była wciągnięta od pierwszej chwili. Natomiast Riho Okagami dała się poznać jako charyzmatyczny historyk, który z pasją i profesjonalizmem opowiada o swojej przygodzie z historią Polski. Atmosfera w klubie była niesamowita - pełna entuzjazmu i pozytywnej energii. Spotkanie zakończyło się sesją autografów i możliwością zrobienia zdjęcia z niezwykłymi gośćmi, co sprawiło, że wieczór był wręcz czarujący. Gorąco polecam każdemu, kto ma okazję wziąć

udział w podobnym wydarzeniu - naprawdę warto!”

Przykro nam było odmówić Panu Jerzemu zwiedzania historycznego pubu i sfilmowania wiersza w Ogrodzie Botanicznym, ale żona trzymała reżim wakacyjny. Już żadnej dodatkowej pracy podczas wakacji! Chcieliśmy odwiedzić galerię, fotografować obrazy i wzbogacić moją kolekcję. Ale za ofertę serdecznie dziękujemy!

Tydzień później wystąpiliśmy w Ośrodku Jezuickim w Essendon, prowadzonym przez Ojca Mariusza Hana. Aparatura była wysmienita, a operatorowi dźwięku i obrazu należą się brawa, bo wyczuwał sytuację i nawet nie proszony, w którymś momencie pokazał na ekranie moją stronę internetową, która wypełniła pustkę sceny. Życzliwy O. Mariusz zadbał o wszystko... I zdradził mi swoje marzenie - chciałby stworzyć

Cd. na str. 7

KUL uczy Polski w Brazylii. W Porto Alegre powstało Centrum Badań nad Kulturą Polską im. Jana Pawła II

Promocja i nauczanie języka polskiego, upowszechnianie historii i kultury polskiej w Brazylii oraz zabezpieczenie polskiego dziedzictwa kulturowego, obecnego w wielu miejscach tego kraju to zadania Centrum Badań nad Kulturą Polską im. Jana Pawła II w Porto Alegre, które powstało w wyniku współpracy z Papieskim Uniwersytem Katolickim w Rio Grande do Sul (PUCRS).

- Otwarcie Centrum Badań nad Kulturą Polską im. Jana Pawła II w Brazylii oznacza oddanie miejsca spotkań dla ludzi chcących ubogacać się wzajemnie. KUL jako najstarszy uniwersytet katolicki w Europie Środkowo-Wschodniej podejmuje się nauczania języka polskiego, kwerendy archiwów oraz wykorzystania ich zasobów. Nie sposób również pominąć kwestii wsparcia kulturowego, dydaktycznego oraz naukowego dla licznej brazylijskiej Polonii - podkreśla rektor KUL, ks. prof. Mirosław Kalinowski.

Jak zaznacza rektor lubelskiego uniwersytetu, odbiorcą działań jest każda osoba, która chce podjąć wysiłek związany z nauką języka polskiego, poznaniem historii i kultury Polski, także w kontekście obu państw. - To studenci Uniwersytetu w Porto Alegre, młodzież polonijna, a także inni studenci oraz młodzież brazylijska mająca jakiegokolwiek związki z Polską - mówi ks. prof. Kalinowski.

Rektor PUCRS brat Irmão Evilazio Teixeira podkreśla, że uniwersytet rodzi się z dialogu z wiedzą i kulturą. - Chcemy stworzyć jak najlepszą współpracę pomiędzy naszymi uniwersytetami. W

planach moja wizyta w Lublinie - dodaje Irmão Evilazio Teixeira.

Wkład w postanie Centrum ma również przedstawicielstwo Polski w Brazylii. Ambasador RP, Bogna Janke zauważa, że kluczowa jest tu postać Jana Pawła II. - To dzięki niemu wielu Brazylijczyków zainteresowało się swoimi polskimi przodkami i postanowiło kultywować tradycję i język swoich dziadków. Dziedzictwo Ojca Świętego stanowi pomost kulturowy pomiędzy Polską a Brazylią, krajami odległymi geograficznie, ale tak bliskimi duchowo - mówi Janke. - Dziękuję rektorom obu uczelni, bratu Evilázio Teixeirze i ks. Mirosławowi Kalinowskiemu, za ich pracę na rzecz zacieśnienia współpracy akademickiej

pomiędzy Polską a Brazylią oraz powołania Centrum - dodaje ambasador.

Pierwsze działania

Jednostka już zrealizowała projekt „Historia Polski dla brazylijskiej Polonii”, czyli synteza historii Polski ze szczególnym naciskiem na polską kul-



Od lewej: Amb. Bogna Janke, brat Irmão Evilazio Teixeira, ks. rektor Mirosław Kalinowski



Wystawa Uśmiech z domu Ojca

ture. Przedstawia dzieje Polski z perspektywy brazylijskiej Polonii. W po-

łowie marca w ramach projektu NAWA „Promocja języka polskiego i kultury polskiej w Brazylii” ruszyły lekcje dla studentów PUCRS. Czteromiesięczny kurs obejmuje nie tylko zajęcia z języka polskiego, ale również trzy serie wykładów akademickich: językoznawczych, historycznych i socjologicznych. Na brazylijskim uniwersytecie można oglądać także wystawę „Jan Paweł II - Dar Polski dla Świata”.

Dla kogo Centrum?

Jak zaznacza ks. prof. Kalinowski, odbiorcą działań jest każda osoba, która chce podjąć wysiłek związany z nauką języka polskiego, poznaniem historii i kultury Polski, także w kontekście obu państw. - To studenci Uniwersytetu w Porto Alegre, młodzież polonijna, a także inni studenci oraz młodzież brazylijska mająca jakiegokolwiek związki z Polską - dodaje rektor KUL.

Porto Alegre jest dużym ośrodkiem diaspory polskiej, która zatraciła natywną znajomość języka wraz z kolejnymi pokoleniami (przede wszystkim za sprawą dawnej polityki władz brazylijskich). Język polski jako dziedziczny jest używany przez niewiele osób i na bardzo różnych poziomach zaawansowania. Młodzi ludzie często nie mówią po polsku, chociaż wielu z nich wyraża chęć uczenia się naszego języka i żywo deklaruje poczucie polskiej tożsamości narodowej. - Te związki z naszą ojczyzną są wciąż żywe i silne wśród Polonii brazylijskiej, a nie idą w parze z ofertą dydaktyczną, jaką mogą otrzymać w swoim mieście i regionie Rio Grande do Sul - podsumowuje koordynator jednostki, prof. Arkadiusz Stasiak, historyk KUL.

KUL/Family News Service
Zdjęcia KUL

MISIEK MUSI BYĆ PRAWDZIWI

Słowa mają siłę, nawet jeśli używa się ich wbrew znaczeniom przypisanym pierwotnie. Lewactwo rozumie tę oczywistość doskonale. Kiedy prawnactwo przyswoić zamierza to samo, ja chciałbym wiedzieć.

Pięćset lat przed Chrystusem poe- wien Grek (Ajschylos) zauważył: „Nie ma gorszego zła od pięknych słów, które kłamią. Pięknie powiedziane. Dziś wszelako wolność to niewola, ignorancja to siła, wojna to pokój – co znamy z literatury, choć skrzecząca literacko rzeczywistość prześcignęła literaturę dawno temu. Dziś katolicyzm to zbroczenie i ciemnogród, a homoseksualizm należy utożsamiać z miłością i postępem. Czy tam z nowoczesnością. Dziś tolerancja oznacza wymóg akceptacji dla dowolnej nikczemności, zaś kontynuacja – rezygnację z działań naprawczych. Dziś ludzie źlejszy woli żądni pomsty to „najpierwszej sprawiedliwi”. Dziś tonująca nastroje powściągliwość przekształciła się w gniewną zapalczywość, lubieżną chęć zamienia w cnotę dziewczę, a straceńcza pycha założyła maskę nieokleźnanej dobroci.

Definicja „orwellizmu” powiada, iż jest to manipulowanie faktami, prawdą oraz świadomością społeczeństwa, a to w celu uzyskania nad nim pełnej kontroli. Wkrótce jakakolwiek manipulacja czymkolwiek, przedsięwzięta dla uzyskania wspomnianej kontroli, stanie się zbrodnią. Tygrys wrzucony na arenę cyrkową wsłuchuje się w trzaski bata, zmuszając tresowane zwierzę do posłuszeństwa, zaś należycie wytresowane i poprawnie ogłupione stado człowiekowi- watach płasających po arenie życia potrzebuje przekazu medialnego, czyniącego go przekonany, że poprawnie (w dobrze rozumianym interesie wła-

snym) formuluje zasłyszane. Reszta to konsekwencje – i w wypadku tygrysa, i w wypadku człowieka.

Co z wolnością słowa? Wolność słowa to idea, idea zaś to metafizyka, niedostępna w tak zwanym „realu”. Prościej: wolność słowa to mit, bynajmniej nie ze zbioru mitów przydatnych, kształtujących naszą tożsamość, ale z tych szkodliwych. Najszkodliwszych. Wata dla uszu i piasek dla oczu. Z wolnością słowa tak naprawdę mamy do czynienia wtedy i wtedy tylko możemy mówić o niej zasadnie, gdy to, co chcemy powiedzieć, mówimy temu, komu chcemy, wtedy gdy tak postanowiliśmy, biorąc pełną odpowiedzialność za wypowiedziane. Metafizyka, powtarzam. Idea nieosiągalna po tej stronie rzeczywistości. Co rzecz jasna nie znaczy, iż nie powinniśmy próbować.

Dni mijają, a żaden nie wróci. Nawet gdy gorąco prosić. Nawet gdy przekupić spróbować. Co z takim zrobisz? Odstrzelisz? Minionego nie odstrzelisz, minione minęło i już nie żyje. Z drugiej strony warto zauważyć, że minione jednak strzelać powinno – do nas. Do niektórych z nas minione powinno strzelać z bazooki. Czy tam z innego Abramsa. „Czubek z uranem ładuj, cel...” – i dalej wiadomo co. Gustlik załaduje jak trzeba, Grigorij jak należy guzik wdusi, Warszawa – nasza. Czy tam Berlin – ich.

Ale tym razem i w tym wątku nie idźmy w tę samą stronę co zazwyczaj. Tym razem zauważmy: kolejne poniedziałki obok nas przechodzą w odmetach minionego tonąc. Środy kolejne, soboty czy niedziele. Dni mijają, powtórzmy, a żaden nie wróci, nawet gdy gorąco prosisz. Nawet gdy przekupić

próbujesz, nic nie wskórasz. Niemniej, by tak rzec: by the way, ktoś zauważył, że dzień wstaje zawsze? Że zawsze inni umierają? Że piorun uderza gdzie bądź, a Duch kędy chce więcej? Że przez całe nasze życie nieustannie spóźniamy się wszyscy, najczęściej na zrozumienie?

Co prawda niektórzy spóźnili się ledwie raz, za to na twardo. Znaczą tak dobrze nie zdążyli, że aż na zawsze. Weźmy jednego z mych ulubionych Nadwiślańców, mianowicie szefa „Nowej Lewicy”, deklarującego, iż celem ideowej formacji prowadzonej przezeń ku świetlanej przyszłości, będzie likwidacja śmierci. „Chcę doprowadzić do tego, żeby kobiety nie umierały”.

Jak to jest, ktoś mi powie, że co lewak, to zaraz logika do ściany doprowadzona zostaje? Notabene, u Czarzastego to niechcący. Zdaje się. Zresztą kto go tam wie, może i chcący? Prawdę powiedziawszy wygląda mi na rozradowanego wręcz, choć zarazem zdążającego przeciw w stronę muru równie betonowego, co zawartość czaszek fanów lewicy. Co wydarzyć się musi, nie patrzymy zatem, za to posłuchajmy: „Czy człowiek ma prawo podejmować decyzje w sprawie własnego ciała?” – pyta Czarzasty Włodzimierz. Redaktora Rymanowskiego Bogdana pyta. Zauważmy i to: spośród współczesnych gamoni, nowoczesnych do womitowania i postępowych do obrzydliwości, gamoni z pretensjami do udziału w mistrzostwach świata retoryki, Czarzasty wychodzi na spryciarza jakich mało. Czy człowiek ma prawo podejmować decyzje w sprawie własnego ciała, no dajcie spokój. Mimo to dziennikarz Rymanowski nie znajduje najprostszego riposty. Pragnie znaleźć czy szukanie za niestosowność uważa, nieważne, i tak podpowiem: czy człowiek ma prawo decydować w sprawie życia innego człowieka?

...Słyszą, Czarzasty z Rymanowskim? Najwyraźniej nie słyszą. Tymczasem w ciągu tej samej minuty Czarzasty

oświadczył w sprawie ziemskiego klimatu, że: „Przestrzega przed prostymi odpowiedziami na trudne pytania”. Mój wniosek brzmi: ułożony niestarannie sąg polan z lipy więcej w sobie zawiera logiki, niż racjonalizmu Czarzasty w całym sobie. Plus we własnych butach. Inaczej: lipa to przy panu Włodzimierzu nad wyraz poważne drzewo, nawet występujące w roli dREW spalanych w kominku. Lepiej spalmy je wszystkie.

À propos lipy. Każdy budynek, począwszy od tych z dwudziestoma lokalami mieszkalnymi, musi dysponować wyposażonym kompletnie schronem zabezpieczającym mieszkańcom ochronę w razie ataku rakietowego, ostrzału artyleryjskiego czy lotniczego bombardowania. W Finlandii. W Polsce tak zwani politycy pakują nas w awanturę wojenną, w czasie której odsyłać lud swój zamierzają do kopania schronów. Czy tam grobów. I w tym kontekście: koncesjonowany FF („Futrak Fotograficzny”) rodem ze stolicy Tatr, a precyzyjniej: Zawadzki Marek, wyjaśniał całkiem niedawno Polsce całej, że zakopiański misiek musi być prawdziwy. Co to znaczy?

To znaczy, że nie ma to, tamto. Nie ma zmiłuj. Skóra z owiec, z dwunastu konkretnie, potrzebna jest – dopiero wtedy futro układa się jak trzeba. Łeb koniecznie drewniany. Przy czym pazury i zęby wyrzeźbione z innego drzewa niż lipowe, nie liczą się. Ile kostium miśka waży? Z głową: dwanaście kilo. Jest co nosić, znaczy. No, ale: „Zakopiański misiek musi być jak przed wojną” – swego czasu indagowany przez redakcję magazynu National Geographic, wyjaśnił rzeczony misiek. „Prawdziwy” – dodał. Ja dodam od siebie, że w Polsce współczesnej coraz częściej prawdziwsze nad rzeczywistość bywają sny.

Krzysztof Ligęza

Kontakt z autorem: widnokregi@op.pl

Katyńska blizna

Dok. ze str. 4

– wspomina Zdzisław Dróbka. W roku 1963 babcia dała mu dziadkowy guzik z polskim orzełkiem. „Masz i szukaj” – powiedziała. Ale poszukiwania Józefa Dróbki w Polsce i za granicą nie dawały rezultatu.

Władze sowieckie dopiero w kwietniu 1990 roku – na fali głośności – przyznały, że zbrodnia katyńska była jedną z „ciężkich zbrodni stalinizmu”. W tym samym roku Dróbkowie dowiedzieli się, że Józef prawdopodobnie był jeńcem Ostaszkowa i został zamordowany w Kalininie. Później informacja się potwierdziła. W roku 1993 Zdzisław Dróbka pojechał do Miednoje, by w miejscu kaźni dziadka wkopać krzyż i pobrać stamtąd ziemię. Kilka lat później zasadił mu Dąb Pamięci w Centralnym Ośrodku Szkolenia Straży Granicznej w Koszalinie.

Katyń to ważna część polskiej historii i pamięci. Traumą związaną z tym, co wydarzyło się 84 lata temu, dodatkowo wzmacnia w Polakach tragedia sprzed czterech lat. 10 kwietnia 2010 roku ówczesny prezydent Lech Kaczyński leciał do Smoleńska, by wziąć udział w

rocznicowych uroczystościach w Katyniu – by na rosyjskiej ziemi oddać hołd ofiarom i przypomnieć prawdę o sowieckiej zbrodni. W katastrofie samolotu zginęło 96 osób: prezydent wraz z żoną i wielu innych przedstawicieli elity państwa polskiego. To także nieodłączna część najnowszej historii Polski.

Ale nie tylko dlatego ludobójcza zbrodnia katyńska to dużo więcej niż wyłącznie przeszłość. Groby w Katyniu, Miednoje i innych miejscach pokazują nam istotę sowieckiej duszy – nastawionej na zło, zniszczenie, ekspansję. W trzeciej dekadzie XXI wieku ta dusza odradza się na nowo w nieco innym wcieleniu. Federacja Rosyjska już niemal wprost gloryfikuje swą komunistyczną przeszłość i pokazuje imperialne skłonności.

Dwa lata temu przed polskim cmentarzem w Katyniu demonstracyjnie pojawił się ciężki sprzęt budowlany. Ale prawdy katyńskiej już nawet koparki nie byłyby w stanie zasypać.

Dr Karol Nawrocki

Dyrektor Instytutu Pamięci Narodowej dlapolonii.pl



Dąb Pamięci w Centralnym Ośrodku Szkolenia Straży Granicznej w Koszalinie.

Senat podjął uchwałę w sprawie uwolnienia Andrzeja Poczobuta

Senat jednogłośnie podjął uchwałę w sprawie uwolnienia Andrzeja Poczobuta. Za głosowało 82 senatorów, nikt nie głosował przeciw, ani się nie wstrzymał od głosu.

Senatorowie przypomnieli w uchwale, że 25 marca 2024 r. miną 3 lata od uwięzienia Andrzeja Poczobuta, jednego z liderów mniejszości polskiej na Białorusi. Za działania w obronie polskości i wolnego słowa reżim Aleksandra Łukaszenki skazał go na 8 lat pobytu w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. „Senat RP z całą mocą potępia ten haniebny akt pogwałcenia praw człowieka oraz elementarnych praw mniejszości narodowych i żąda od władz białoruskich niezwłocznego uwolnienia Andrzeja Poczobuta. Senat RP wyraża najwyższe uznanie dla niezłomnej walki Andrzeja Poczobuta o prawo do polskości i wolności na Białorusi. Wyrażamy pełną solidarność z jego rodziną i wszystkimi, którzy walczą o jego uwolnienie” – podkreślili senatorowie.

Senatorowie potępiłi także likwidację szkół polskich, szykanowanie działaczy Związku Polaków na Białorusi, profanację i niszczenie polskich miejsc pamięci. Uznali te działania za nieprzyjazne wobec Polski, łamiące reguły prawa międzynarodowego oraz umowy dwustronnej między Polską a Białorusią. Zwrócili się do polskiego rządu, Parlamentu Europejskiego, parlamentów i rządów państw demokratycznego świata oraz międzynarodowych instytucji obrony praw człowieka o wzmocnienie działań na rzecz uwolnienia Andrzeja Poczobuta oraz wszystkich bezprawnie uwięzionych na Białorusi, a także wskazali na potrzebę zaostrzenia

sankcji wobec funkcjonariuszy reżimu Aleksandra Łukaszenki.

Od pierwszego dnia nasza społeczność apeluje i żąda od władz białoruskich natychmiastowego uwolnienia Andrzeja Poczobuta. Nie może być tak, że łamane są prawa człowieka, że człowiek, który ma odwagę mówić o wolności, godności, swego pochodzeniu jest wsadzany do więzienia. Apelujemy o jak najszybsze uwolnienie Andrzeja Poczobuta, a jednocześnie wspieramy wszystkich Polaków na Białorusi. Apelujemy także do społeczności międzynarodowej, aby solidarnie upominała się o uwolnienie Andrzeja Poczobuta. Tylko solidarnie możemy wpłynąć na reżim Łukaszenki – powiedziała marszałek Małgorzata Kidawa-Błońska na briefingu prasowym po przyjęciu przez Senat uchwały ws. uwolnienia Andrzeja Poczobuta, jednego z liderów mniejszości polskiej na Białorusi.

Chcielibyśmy podziękować za przyjęcie dzisiejszej uchwały w sytuacji, kiedy nasz kolega, jeden z liderów naszej organizacji Andrzej Poczobut, od 3 lat znajduje się w więzieniu w nieludzkich warunkach. W sytuacji, kiedy od 4 lat na Białorusi panują totalne represje i nie ma żadnej wolności, nie można normalnie funkcjonować i działać, staramy się wszelkimi sposobami szukać możliwości uwolnienia naszego kolegi. Dlatego przyjęcie takich uchwał jest szczególnie ważne i mamy wielką nadzieję, że to wszystko przyspieszy dzień, kiedy Andrzej Poczobut będzie na wolności – zapewnił wiceprezes Związku Polaków na Białorusi Marek Zaniewski.

Senat RP

Ziemia ma trzy księżycy

Odkrycie polskiego astronoma

Kazimierz Kordylewski był światowej sławy polskim astronomem, a jednak tak mało znany jest we własnym kraju. Urodził się 11 października 1903 roku w Poznaniu. Tam też uczęszczał do Gimnazjum Św. Marii Magdaleny. Od wczesnej młodości interesował się gwiazdami i astronomią. Studia odbył na Uniwersytecie Poznańskim, a następnie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jednocześnie pracował jako asystent w Uniwersyteckim Obserwatorium Astronomicznym kierowanym przez profesora Tadeusza Banachiewicza.

W 1926 r. Kazimierz Kordylewski ukończył studia i wkrótce dokonał swojego pierwszego odkrycia. Odkrył mianowicie gwiazdę Tau Corvi w konstelacji Kruka.

W 1932 r. uzyskał doktorat z astronomii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Często podróżował do wielu krajów Europy.

W czasie II wojny światowej, aby przetrwać, zajmował się handlem. Prof. Banachiewicz został aresztowany przez Niemców w czasie akcji Sonderaktion Krakau i przebywał przez pewien czas w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. W tym czasie Kordylewski opiekował się majątkiem Obserwatorium Astronomicznego. Cenne przyrzędy zakopał w piwnicy. Po zakończeniu wojny powrócił do pracy w Obserwatorium. To on właśnie był twórcą tzw. służby czasu i dzięki niemu od 1946 r. Polskie Radio zaczęło nadawać sygnał czasowy.

W 1949 r. zorganizował pokazy wahadła Foucaulta w Krakowie, które odbywały się tam przez wiele lat. W 1954 r. rozpoczął budowanie radioteleskopów. Interesował się szczególnie gwiazdami zmiennymi, opracowując prostą i szybką metodę graficzną do wyznaczania minimum jasności tych gwiazd. Była to tzw. metoda kalkowa.

W czasie wyprawy na szczyt Łomnicy w Tatrach (2634 m) Kordylewski po raz pierwszy odkrył dwa Pyłowe Księżyce Ziemi (obłoki pyłowe). Są to dro-

biny materii w przestrzeni kosmicznej tworzące pyłowe chmury. Obiegają one Ziemię w tym samym czasie co Księżyc, ale po własnych orbitach w czasie równym okrążenia znanego nam Księżyca. Znajdują się w punktach libracyjnych Langraea L4 i L5 układu Ziemia-Księżyc. Punkty te tworzą wierzchołki trójkątów równobocznych, których boki są równe promieniowi orbity Księżyca. Obłoki pyłowe są niezwykle trudne do obserwacji, ponieważ mają bardzo małą jasność powierzchniową. Każdy z dwóch obłoków Kordylewskiego ma masę sumaryczną około 10 000 kg, zaś średnicę około 10 000 km (dla porównania średnica Ziemi wynosi około 12 745 km).

Kordylewski ogłosił swoje odkrycie w 1961 r., jednak jego obserwacje i wyniki były długo podważane przez astronomów na świecie. Obłoki te zostały nazwane Księżycami Kordylewskiego, chociaż astronom pragnął, aby nazwano je Polskimi Księżycami. Prawo takie przysługiwało mu jako odkrywcy. Świat zachodni jednak nazwał je „Kordylewski Clouds” (Obłoki Kordylewskiego).

Dla dalszego potwierdzenia swego odkrycia polski astronom zorganizował między innymi trzy wyprawy morskie na wody równikowe na oceany Atlantycki, Indyjski i Morze Czerwone w latach 1966, 1973 i 1974. Dokonał wielu pomiarów i obserwacji nocnego nieba. Przezroczność nieba i brak łuny od światła miały stworzyć idealne warunki do badań. Wiele obserwacji musiało być dokonywane gołym okiem bez przyrządów optycznych. Drobinki pyłowe mają wymiary między 0,1 mm a 0,001 mm, natomiast odległości między nimi wynoszą nawet 1 km. Obserwacje poprzez lunety lub teleskop powiększałyby badany obszar zbyt mocno.

Kazimierz Kordylewski pracował w Obserwatorium Astronomicznym przez 40 lat. Zajmował się także pracą pedagogiczną. Był wykładowcą astronomii i geografii matematycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także na wyższych uczelniach w Rzeszowie i Lublinie.

Z jego inicjatywy 11 listopada 1955 r. przeniesiono ciało profesora Tadeusza Banachiewicza z Cmentarza Rakowickiego do Krypty Zasłużonych na Cmentarzu na Skałce w Krakowie. Nie było to jednak łatwe w tych postaliniowskich czasach.

Tadeusz Banachiewicz był wybitnym matematykiem, astronomem i geodetą. Z jego inicjatywy powstała stacja astronomiczna na Łysinie (przemianowana później na Lubomir), którą Niemcy spalili w 1944 r. W 1927 r. stworzył on chromokinematograf do dokładnych obserwacji zaćmień Słońca. On także rozpoczął obserwacje gwiazd zmiennych. Potrafił on na podstawie prostych zasad wytłumaczyć wiele skomplikowanych zjawisk. Podobnie jak Kopernik, który heliocentryzmem uprościł rozumienie ruchu planet, tak Banachiewicz poprzez utworzenie rachunku krakowianego



Kazimierz Kordylewski

uprościł macierze w matematyce. W ten sposób odkrył doskonalsze metody obliczeń w matematyce i geodezji, a także w późniejszym okresie w rozwoju komputerów. Dzięki Krakowianom Banachiewicz rozślał Polskę i Kraków w skali światowej nauki.

Początkowo Kordylewskiemu odmówiono przeniesienia grobu Tadeusza Banachiewicza do Krypty Zasłużonych. Tłumaczono to faktem, że umieszczono tam tylko artystów, że krypta miała charakter zabytkowy i że była już zamknięta dla dalszych pochówków. W miejscu tym spoczywały już takie osoby jak Stanisław Wyspiański, poeci Wincenty Pol, Adam Asnyk, Teofil Lenartowicz, pisarze Józef Ignacy Kraszewski i mało znany Lucjan Siemieński, malarze Jacek Malczewski i Henryk Siemiradzki, kompozytor Karol Szymanowski, aktor Ludwik Solski i nasz słynny dziejopisarz

Jan Długosz. Wszyscy oni byli humanistami, zaś Tadeusz Banachiewicz był matematykiem. Wikipedia podaje, że „Ekshumacji na własny koszt i z własnej inicjatywy, nie pytając nikogo o zgodę, dokonał uczeń prof. Banachiewicza doc. dr Kazimierz Kordylewski”. „Wybryk” ten przyplacił Kazimierz Kordylewski utratą awansu na uniwersytecie Jagiellońskim. Nigdy nie przyznano mu tytułu profesora.

Ulubioną postacią fikcyjną Kordylewskiego był baron Münchhausen, który dokonywał rzeczy niemożliwych na przekór wszystkiemu.

Odszedł na emeryturę w 1974 r. ale dalej był aktywny naukowo. Popularyzował astronomię w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, szkołach radiu i telewizji.

A jednak ogromne odkrycie Kordylewskiego doczekało się uznania. W 1972 r. amerykańska NASA udekorowała go brązowym medalem, zaś w 1973 r. Złotym Krzyżem Zasługi NASA. W 1974 r. otrzymał Medal Komisji Edukacji Narodowej oraz Medal 500-lecia Urodzin Kopernika. W 1979 roku otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Polonia Restituta.

Kazimierz Kordylewski zmarł 11 marca 1981 r. Został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. W 1985 r. jedną z ulic w Krakowie nazwano jego nazwiskiem. W październiku 2004 r. jego imieniem zostało nazwane Młodzieżowe Obserwatorium Astronomiczne w Niepołomicach.

W październiku 2018 r. węgierscy naukowcy ogłosili, że udało im się potwierdzić istnienie Księżyców Kordylewskiego, dwóch gęstych chmur pyłowych krążących wokół Ziemi, które w 1961 roku odkrył polski astronom. W tym samym roku 2018 brytyjskie Królewskie Towarzystwo Astronomiczne ogłosiło całemu światu, że Kordylewski miał rację i że dokonał ogromnego odkrycia. Stało się to dopiero po 57 latach.

Lidia Waluk-Legun

Źródła:

www.kordylewski.pl
Korespondencja autorki z wnukiem Kazimierza Kordylewskiego
Wikipedia

Nasze spotkania w Melbourne

Cd. ze str. 5

zespół teatralny! Oczywiście, trzymam kciuki! Tu atmosfera była bardziej teatralna, bo ja byłem na prawdziwej scenie, reflektor stworzył nastrój, więc recytowałem też chyba trochę inaczej. To ciekawe, bo powtarza się te same teksty, ale my czujemy, że za każdym razem interpretacja jest troszkę inna, bo otoczenie i atmosfera zawsze działają na aktorów.

Także publiczność i jej reakcje mają tu swój udział, tworzą atmosferę. Tak było i tu. Więc nigdy nie jest tak samo. Publiczność dopisała, oglądała filmy z uwagą i słuchała wspaniale!

O różnice w interpretacji musielibyśmy zapytać dwie miłe panie, które po spotkaniu w „Syrenie” chyba nas polubiły, bo o dziwo! - pojawiły się również na spotkaniu w Essendon!

Na internetowej stronie polskich jezuitów w Melbourne (gdzie znajdują Państwo także zdjęcia ze spotkania) p. Małgorzata Dymek napisała: „Po Mszy świętej rannej w niedzielę, 3 marca odbyło się spotkanie z autorem, reżyserem, dziennikarzem, autorem książki o teatrze Andrzejem Siedleckim i Japonką, autorką książki »Feniks Środkowej

Europy - tysiącletnia historia niezłomnej Polski« Riho Okagami-Siedlecką.

W atrakcyjnym programie rozpoczęliśmy od recytacji wierszy A. Mickiewicza, K.K. Baczyńskiego, J. Tuwima, Lechonia, T. Różewicza, Z. Herberta, I. K. Gałczyńskiego i A. Gawrońskie-



Edward Szczepański, Związek Ziem Wschodnich II RP

go oraz odbyła się rozmowa naszych szanownych gości z publicznością. Następnie zostały zaprezentowane dwa filmy. Pierwszy, nagrodzony na Festiwalu »Losy Polaków« pt. »Matejko. Przypominać Polskę« oraz drugi, relaksujący pt. »Ogrody i świątynie japońskie«. Dzięki życzliwości pana Andrzeja i Riho zebraliśmy wolne datki na pomoc

ubogim dzieciom w krajach afrykańskich, które wspomogą naszą Wielkopostną Jaltuznę - 2024. Dzięki blisko 100-osobowej publiczności zebraliśmy 365 dolarów.

Bardzo dziękujemy ks. Mariuszowi Hanowi SJ i organizatorom tego spotkania za możliwość poznania tak wspaniałych osób promujących na różne sposoby historię naszej Ojczyzny”.

Po rozmowie z publicznością musielśmy szybko jechać na improwizowane spotkanie do Klubu w Albion. Improwizowane, bo wiem po spotkaniu w „Syrenie”, zasłużony działacz polonijny, Edward Szczepański, jak mniemam chyba „rozgrzany” naszym występem, wybrał z naszych prezencików płytke z nagrodzonymi filmami i postanowił je zaprezentować po spotkaniu w Ośrodku Jezuitckim, w Klubie w Albion, u prezesa Klubu, Jana Kutypy, który już czekał przed budynkiem, by nas powitać. Pan Edward, ponieważ miał tylko tydzień na organizację publiczności wpadł na świetny pomysł. Zorganizował mianowicie projekcję nagrodzonych filmów z wideo i kto miał chęć je oglądać, zglądał jeden po drugim. To był jakby mini festiwal naszych filmów!

Dziękujemy!

I nagle niesamowita niespodzianka! Oto te same, dwie nobliwe panie, niewątpliwie już nasze „fanki”, które tydzień wcześniej były w „Syrenie”, a potem przyjechały do Essendon, teraz, po raz trzeci, pojawiły się w Klubie w Albion! Tu już obejrzały inne filmy, a my cieszyliśmy się ich obecnością! W Klubie jakość obrazu na ekranie i dźwięk były też wspaniałe. A ja, oglądając „na świeżo” nasze filmy, znów dziwiłem się, dlaczego TV Polonia nie ma chęci prezentować nagrodzonych filmów polonijnych twórców - nie są takie złe!

„I widzowie je lubią, bo ukazują sprawy i rzeczy, o których my nie wiemy” - skwitowała nasza „fanka” Pani Ania. „Tak, tak, masz rację!” - poparła ją druga Pani Ania, miłośniczka teatru.

Władze Klubu ugościły nas wszystkich miłą rozmową przy okrągłym stole, schabowym, pierogami i ciastami do wyboru oraz pigwówką.

Wszystko było znakomite! Dziękujemy!

O spotkaniach ze sztuką napiszę w następnym artykule.

Andrzej Siedlecki

Fot. archiwum pp. Siedleckich

Zapraszam na moją stronę:
www.andrzej siedlecki.pl

Przedwiośnie Zagończyków - polskie być albo nie być na Kresach, 1919

Na przedwiośniu 1919 r. poczynania sowieckiej maszyny wojennej w krainie od bagien Polesia aż po Wilno, przybrały postać regularnej inwazji. Wielonarodowe hordy Trockiego, złożone z lumpenproletariatu byłego imperium carów, ruszyły za zachód pod leninowskim hasłem podboju: Litwy, Polski, Niemiec, Francji...

Na ich drodze stały słabe jeszcze siły zbrojne odrodzonej Polski. Składały się na nie oddziały regularne i nieregularne. Żołnierze i partyzanci Białe-Czerwone cierpieli na logiczne niedobory - od ilościowych po logistyczne. Górując wszakże nad najeźdźcami duchem, odwagą i poświęceniem.

W ostatnich dniach lutego 1919 r. żołnierze majora Dąbrowskiego unicestwili pod Iwacewiczami część Mazowieckiego Pułku Czerwonych Ułanów(1), biorąc do niewoli dwie setki jego *mało-polskich* renegatów. Zwycięstwo to umożliwiło jednostkom polskiej samoobrony dalsze sukcesy na kierunku wschodnim. Pierwszym z nich był, zakończony pełnym powodzeniem, „zajazd” na Berezę Kartuską, wziętą 1 marca brawurą szarżą szwadronów, których łupem padły w mieście liczne składy i magazyny oraz ponownie sporo jeńców.

Następny przedmiot natarcia stanowił Pińsk. Miasto położone w rozlewiskach rzeki Piny było niejako naturalnie ufortyfikowane wszechobecnymi poleśnymi bagnami, niemal kompletnie nieprzebytymi, zwłaszcza o tej porze roku, na skutek opadów śniegu i deszczu. Spieszeni zagończycy, wspólnie z przybyłymi śladem wileńską piechotą, strawili pół dnia na penetrowaniu wrogich fortyfikacji pod gęstym ostrzałem artyleryjskim. Po krwawych atakach na bagnety, przebito się wreszcie w pobliże centrum, zdobywając stację kolejową wraz z naprawianym tu pociągiem pancernym, dwoma setkami wagonów towarowych i kilkudziesięcioma *czubarykami*. Przy okazji uwolniono gromadkę ich niedoszłych ofiar: ziemian, peowiaków i księdza. Ledwie żywy kapłan, przystąpił mimo to do odprawiania Drogi Krzyżowej. W zdewastowanym, zamienionym przez komunistów na stajnię kościele, zamiast rżenia koni na nowo zabrzmiała modlitwa, która przypominała ułanom, że Wielkanoc za pasem. Zaraz po nabożeństwie nadarzyła się nowa okazja do działania. Według informacji uzyskanych od jeńców, dalsze zdobycze czekały na nieodległej stacji Leśna. Polacy poszli więc za ciosem, zajmując ją przed zmierzchem wraz z kolejnym pociągiem pełnym wojskowego dobra. Na tym się nie skończyło. Ale zacznijmy od początku...

Schyłek 1918 r. upłynął kresowiakom na niewesołym oczekiwaniu zmiany okupanta. Dotychczasowo pełniących tę rolę Niemców, wraz z zakończeniem działań Wielkiej Wojny, miały zastąpić, znane już z jak najgorszej strony, bolszewickie hordy. Nominalnie, w myśl postanowień zawieszenia broni (11.11.1918 r.), alianci zobowiązali kaiserowskie wojska do pozostania na obszarze Ober-Ost *dla ochrony Europy przed czerwoną zarazą*. W rzeczywistości jednak, za brytyjskim przyzwoleniem, Niemcy nie byłiby sobą, gdyby nie spróbowali antypolskiego knucia litewskimi i ukraińskimi rękami. Z pomocą im, niespełna tydzień później, podążyły armie bolszewickiego Frontu Zachodniego. Nie przejmując się przestrzeganiem linii demarkacyjnej, podjęły one inauguracyjną przymiarkę do podboju, w celu zmylenia przeciwnika nazwanego „poniesieniem rewolucji na zachód”.

Tymczasem zaludniający Kresy polski żywioł, nie miał prawie nic na swoją obronę. Żołnierzy odrodzonej dopiero co Rzeczpospolitej absorbowwała bez reszty wojna z Ukraińcami o Lwów i Galicję. Dla obrony ziem niegdyśszego Wielkiego Księstwa Litewskiego należało więc organizować się własnymi siłami, bez oglądania się na potencjalną odsiecz z Warszawy czy Poznania. Komendę nad jednostkami samoobrony wileńskiej objął, mianowany rozkazem Józefa Piłsudskiego, generał Władysław Wejtko. Jego ambitne zamierzenie stworzenia Oddziału Konnego Sa-



Gen. Władysław Wejtko. Fot. Wikipedia

moobrony Litwy i Białorusi zdołano urzeczywistnić dokładnie w 2/3, formując ostatecznie tylko cztery z dwunastu zaplanowanych szwadronów dla manewrowej obrony środkowo-wschodniej Wileńszczyzny. Na koncentrację ich wszystkich, znanych narazie pod skrótem OKSLiB (przemianowany na 1. Pułk Ułanów Wileńskich) 27.12.1918 r. w majątku Pośpieszka stały się poza regularnym stanem, rzesze ochotników(2). Niestety, dalszemu rozrostowi jednostki przeszkodziły na razie niedobory uzbrojenia i inne braki sprzętowe. Pierwszym zadaniem konnych Wilniuków było zapobieżenie przewidywanemu zdaniu miasta sowietom. Na wieść, że dotychczasowi okupanci planują takie posunięcie 1. Pułk przebazował się 28.12 do Antokolskich Koszar, gdzie dołączyli doń nieźle uzbrojeni ochotnicy z Oszmiany. Tak oto, w sile blisko trzystu ludzi zbrojnych, poza pałaszami i wintówkami, w zaledwie cztery karabiny maszynowe, jednostka trafiła pod komendę rotmistrza Władysława Dąbrowskiego (inna spotykana pisownia: Dąmbrowski), którego zastępcą został jego starszy brat, Jerzy. Już w najbliższej przyszłości miało się okazać, że ich pozornie niepokorni podwładni stanowią idealny materiał na zagończyków kresowych bezdroży.

Kawaleryjski trening z konieczności ograniczono do minimum. Czas naglił. Ledwie wystarczyło go na uroczysty przejazd głównymi ulicami miasta do placu Łukiskiego. Pisał potem o tym ksiądz Walerian Meysztowicz: „Przed front jako tako wyrównanej, konnej zbieraniny wysadził się Jerzy Dąbrowski. Chudy, świetnie wrosnięty w siodło, na tańczącym kasztanie; z wydatnym nosem, siwą głową, sterczącymi uszami – wysoko podniósł szablę, osadził konia i palnął niezapomnianą przemowę: chłopcy – Ojczyzna – bolszewicy! Bładź ich mać!”

To celne w swej lapidarności zawołanie przeszło natychmiast do kawaleryjskiej legendy, a zaraz potem - na

ulice polskiego Wilna. Bez względu na wciąż trwającą okupację, czekającego tylko na iskrę, by eksplodować pod nogami zdeorientowanych Niemców. Z jednej strony wystraszonych determinacją – jeszcze tylko - biernego oporu, z drugiej zaś starających się realizować Polakożercze instrukcje z Berlina w zakresie rozbijania choćby prowincjonalnych ośrodków samoobrony i ułatwiania czerwonej agitacji, podsycanej dodatkowo złowróżbnymi wiciami o coraz głębiej zapędzających się na litewskie ziemie czubarykach.

Wszystko to wystarczyło rankiem 31.12.1918 r., dosłownie w chwilę po wycofaniu się Niemców, do zainicjowania w mieście nad Wilią, komunistycznej „ruchawki”, sprowokowanej przez nastanych w tym celu **dywersantów i sabotażystów** mogących zawsze liczyć na wsparcie tradycyjnie antypolskich mniejszości. Znający je jak zły szeląg, kapitan Dąbrowski był na to przygotowany. Jego ułani, konspiratorzy POW, kolejarze, harcerze oraz świeżo mu również podporządkowana Legia Oficerska, w oparciu o informacje uzyskiwane od wileńskich rodaków, byli w stanie skontrolować wszystkie zakusy wroga. Po trwających od zmroku do świtu zaciętych bojach o Dworzec Główny (kpt. Dąbrowski został tu ranny), telegraf, koszary i ratusz - wszystkich komunistów, którzy nie zdołali jeszcze uciec z Wilna, osaczono w kominternowskiej melinie na ulicy Wroniej, zwanej dowcipnie „Gniazdem świń”. Tu wystarczyło ich tylko pilnować, by zgodnie z oczekiwaniami oblegających, po wyczerpaniu całego zapasu wódki i zakąski, poddali się po 48 godzinach. Jak się okazało w trakcie przeprowadzonego bez strat własnych oblężenia, zginęło trzech czerwonych (a może jednak zmarli na alkoholowy rozkład mózgu?). Pięciu dalszych podobno odebrało sobie życie, by nie iść w *białopolskiej plien*, choć dość prawdopodobna wydaje się wersja zastrzelenia ich przez któregoś z pozostałych 76 kompanów, którzy przed jeniecką dolą się nie wzbraniali, przyjmując



Rotmistrz Władysław Dąbrowski

Fot. Wikipedia

ją posłusznie, a przy okazji wyjawiając masę informacji przydatnych polskiemu wywiadowi.

Niestety, z nastaniem dnia 3 grudnia na podejściach do Wilna pojawiły się tabuny bolszewików. Z wielkim wysiłkiem Dąbrowszczacy odparli ich chwilowo pod Nową Wilejką, ale wielokrotna dominacja przeciwnika wymusiła niebawem na obrońcach oddanie obu miast i odwrót do Białej Waki. Nowym okupantom otwarcie sprzyjali dawni, niby już ewakuowani, ale gdzieś niedziedzi nadal obecni w terenie, wciąż niewyżbyci alergii na polskość. Samobrona nie miała więc tymczasem in-

nego wyjścia, jak walka na dwa fronty. Opuszczająca Wilno brygada generała Wejtka niebawem wpadła w niemieckie okrazenie pod Waką Tyszkiewiczowską. Do bitwy nie doszło tylko dzięki rozwadze polskiego dowódcy i podpisaniu przez niego doraźnego zawieszenia broni. W myśl umowy broń miała po jej złożeniu zostać wyeksponowana koleją do Łap, gdzie miała być zwrócona Polakom. Kiedy okazało się, że tak nie będzie, a umowa jest środkiem nie tylko do całkowitego rozbrowienia, ale i uwięzienia Polaków, zagończycy postanowili nie zdawać uzbrojenia, a raczej zaryzykować kontynuowanie partyzanckiej kampanii.

Zaszywszy się w ostępach Puszczy Rudnickiej, po krótkim odpoczynku i przyjęciu uzupełnień, jednostka złożona na teraz z ponad dwustu konnych i pięciu setek piechoty, opuściła 06.01.1919 roku gościnne progi Białej Waki, by szlakiem przez Ejszyski - Zabłocie - Jezioro dotrzeć po dwunastu dniach do Orła nad Niemnem, gdzie Władysław Dąbrowski przybrał tytuł Dowódcy Wileńskiego Oddziału Wojsk Polskich. Chwila była po temu odpowiednia, co wymaga choćby krótkiego wyjaśnienia. Dąbrowszczacy byli formacją o strukturze wzorowanej na tradycyjnym pospolitym ruszeniu. Konny komponent tworzyli przedstawiciele szlachty i ziemiaństwa. Z własnymi wierzchowcami, improwizowanym oporządzeniem i dość niestety różnorodnym uzbrojeniem (broń palna conajmniej siedmiu typów!), któremu zapewnianie amunicji było stałą mrozą kwatremistrzostwa. Szeregi piechoty zaludniali wileńscy robotnicy i uczniowie. Generalnie nie można powiedzieć, żeby wszyscy oni byli dobrze przygotowani do zimowej wojaczki. Z drugiej strony trzeba przyznać, że dowódca wykazał daleko idącą inwencję, „motoryzując” piechotę przy pomocy zarekwirowanych furmanek i sań.

Teren potencjalnych działań jednostki poza nielicznymi ośrodkami miejskimi, w praktyce nie podlegał niemieckiej czy też bolszewickiej władzy, lecz (jak twierdzi Mackiewicz, naoczny świadek) „temu, kto miał dłuższą rurę i mocniejszą szablę”. Do tego Dąbrowszczacy pozostawali w ciągłym ruchu. Nie szczędząc sił w zwalczaniu niemieckich ekspedycji i komunistycznych band. Notabene, na partyzanckim szlaku przyłączali się do nich zagrożeni rodacy, głównie żałogi placówek samoobrony m.in. ejszyskiej, szczuczynskiej i lidzkiej. We wspomnianym już Orle dogonił naszych bohaterów wachmistrz Meysztowicz z tuzinem swoich „szwoleżerów”.

Brakowało czasu na szkolenie uzupełnień. Tydzień później Władysław Dąbrowski i jego ludzie, pokonawszy skutym ludem Niemen, wprost z marszu oskrzydłili i zmusili do kapitulacji sowiecki garnizon Jeziornicy. Taki sam los spotkał inne ostoje krasnoarmiejców. Mierzewicze, Różan, Prużany itd, w których łącznie wzięto kilkuset jeńców wraz z licznym uzbrojeniem, wierzchowcami, a nawet kompletną kancelarią bolszewickiego pułku. Nie licząc się z trzaskającym mrozem i zamiecią śnieżną, zaskakując nieprzyjaciół coraz to nowymi akcjami, w tym zawsze udanymi szarżami, syci dotychczasowych zwycięstw zagończycy stanęli na popas w Prużanach, mając w nogach i kopytach blisko dwieście kilometrów. Pokonanych w kopnym śniegu i dotkliwym zimnie, w nieustannych walkach i rekordowym czasie trzech dób, co stanowi nie pobity do dziś rekord bojowej szybkości w skali nie tylko polskich sił zbrojnych.

Nawet na tak wczesnym etapie kampanii, zagończyków wyprzedzała legenda. W każdym nowym miejscu postoju nie mogli opędzić się przed napływem

chętny do konnej wojacki. Relacje z par-tyzanckiej kampanii zagończyków na szlaku od Orła do Brześcia, poświęcono nawet jedną z debat sejmowych.

Wspominając na wstępie o lutowo-marcowych triumfach Wilniuków w trójkacie Iwacewicze - Bereza - Pińsk, przerwałem narrację po opisie zdobycia stacji Leśna stwierdzając, iż na tym się nie skończyło... Lokalne sukcesy były bowiem tylko wstępem do koronnego triumfu Dąbrowszczaków w rozpoczętej 13 marca Operacji Baranowickiej. Po żartach zmaganiach tego dnia przerwali oni bolszewicki front pod Byteniem, odciążając tym samym silnie naciskane pozycje sojuszniczej dywizji Litewsko-Białoruskiej na przedpolach Słonimia. Wychodząc w niebrońoną przestrzeń operacyjną na tyłach przeciwnika, *Dywizjon Jazdy Wileńskiej* wyzwolił Sieniawkę, zdobywając przy tej okazji dwa pociągi z amunicją i sortami mundurowymi. Przed możliwą interwencją krążącego nieopodal bolszewickiego pociągu pancernego, zwycięzcy zabezpieczyli się rozkręceniem pół kilometra szyn, oraz wysadzeniem przepustów i mostów od Lunińca aż pod Baranowicze. To, w połączeniu z wcześniejszym przecięciem pod Horodziejem magistrali do Mińska, pozwoliło szachować nieprzyjaciela w Baranowiczach z przyczółka Nowa Mysz. To właśnie z niego jeszcze tego samego popołudnia 17 marca, zaskoczono wroga szarżą, na którą po prostu nie zdążyli zareagować. Z tego powodu, bez konieczności bojowego rozwijania, ułani pokłusowali na ulice w szyku niemal defiladowym. Wiwatujący mieszkańcy czynnie pokierowali przybyszów w newralgiczne punkty miasta, które po kwadransie słabego oporu wpadło wraz z dwoma stacjami kolejowymi, arsenałem i sztabem bolszewickiej dywizji, w polskie ręce. Zdobycie Baranowicz miało kluczowe znaczenie dla wzmocnienia polskiego frontu, a przy okazji, dla wprawienia w panikę sowieckich armii, tak jeszcze niedawno śmiało poczynających sobie na północnej Białorusi.

Zagończycy nie zagrzażyli długo miejsca w charakterze baranowickiego garnizonu. Niebawem zluźnowali ich w tej roli 10. Pułk Ułanów Litewskich, podczas gdy nasi bohaterowie podążyli do Lidy, na Wielkanocne przeformowanie. Tym razem już w pełnoetatowy 13. Pułk Ułanów Wileńskich, pod niezmienianą komendą majora Władysława Dąbrowskiego. W ten sposób w nowych, macierzystych koszarach Nowej Wilejki, akurat podczas Świąt Zmartwychwstania Pańskiego, dobiegł końca partyzancki epos rodem z kawaleryjskiej legendy. Narodzonej i doprowadzonej do szczęśliwego zakończenia dzięki patriotyzmowi i samozaparciu kresowych rodaków wszystkich stanów, których bezprzykładna ofiarność stała się siłą sprawczą utrzymania przy Rzeczpospolitej jej północno-wschodnich dzielnic na jakże cenne dla potomności, następne dwie dekady.

Andrzej Zbiegniewski

1) Powstała w 1917 roku, polskojęzyczna jednostka bolszewickiej kawalerii była integralną częścią Armii Czerwonej; lewacy historycy głoszą jej udział wyłącznie w bitwach na frontach wojny domowej pod Jarostawiem, Moskwą, Kazaniem itp., mimo to, jak widać protoplaści Płatnych Pachołków Rosji walczyli też przeciw Polakom, np. na wileńszczyźnie.

2) Lokalna szlachta, ziemianie, chłopcy i inteligencja, zgromadzona wzorem Polskiego Ruszenia, z własnymi końmi, ekwipunkiem i improwizowanym umundurowaniem.

3) Wśród kilku poległych znalazł się niestety kapitan Władysław Steckiewicz (serdecznie polecam zapoznanie się z biografią tego kresowego bohatera).

Wspominając na wstępie o lutowo-marcowych triumfach Wilniuków w trójkacie Iwacewicze - Bereza - Pińsk, przerwałem narrację po opisie zdobycia stacji Leśna stwierdzając, iż na tym się nie skończyło... Lokalne sukcesy były bowiem tylko wstępem do koronnego triumfu Dąbrowszczaków w rozpoczętej 13 marca Operacji Baranowickiej. Po żartach zmaganiach tego dnia przerwali oni bolszewicki front pod Byteniem, odciążając tym samym silnie naciskane pozycje sojuszniczej dywizji Litewsko-Białoruskiej na przedpolach Słonimia. Wychodząc w niebrońoną przestrzeń operacyjną na tyłach przeciwnika, *Dywizjon Jazdy Wileńskiej* wyzwolił Sieniawkę, zdobywając przy tej okazji dwa pociągi z amunicją i sortami mundurowymi. Przed możliwą interwencją krążącego nieopodal bolszewickiego pociągu pancernego, zwycięzcy zabezpieczyli się rozkręceniem pół kilometra szyn, oraz wysadzeniem przepustów i mostów od Lunińca aż pod Baranowicze. To, w połączeniu z wcześniejszym przecięciem pod Horodziejem magistrali do Mińska, pozwoliło szachować nieprzyjaciela w Baranowiczach z przyczółka Nowa Mysz. To właśnie z niego jeszcze tego samego popołudnia 17 marca, zaskoczono wroga szarżą, na którą po prostu nie zdążyli zareagować. Z tego powodu, bez konieczności bojowego rozwijania, ułani pokłusowali na ulice w szyku niemal defiladowym. Wiwatujący mieszkańcy czynnie pokierowali przybyszów w newralgiczne punkty miasta, które po kwadransie słabego oporu wpadło wraz z dwoma stacjami kolejowymi, arsenałem i sztabem bolszewickiej dywizji, w polskie ręce. Zdobycie Baranowicz miało kluczowe znaczenie dla wzmocnienia polskiego frontu, a przy okazji, dla wprawienia w panikę sowieckich armii, tak jeszcze niedawno śmiało poczynających sobie na północnej Białorusi.

Zagończycy nie zagrzażyli długo miejsca w charakterze baranowickiego garnizonu. Niebawem zluźnowali ich w tej roli 10. Pułk Ułanów Litewskich, podczas gdy nasi bohaterowie podążyli do Lidy, na Wielkanocne przeformowanie. Tym razem już w pełnoetatowy 13. Pułk Ułanów Wileńskich, pod niezmienianą komendą majora Władysława Dąbrowskiego. W ten sposób w nowych, macierzystych koszarach Nowej Wilejki, akurat podczas Świąt Zmartwychwstania Pańskiego, dobiegł końca partyzancki epos rodem z kawaleryjskiej legendy. Narodzonej i doprowadzonej do szczęśliwego zakończenia dzięki patriotyzmowi i samozaparciu kresowych rodaków wszystkich stanów, których bezprzykładna ofiarność stała się siłą sprawczą utrzymania przy Rzeczpospolitej jej północno-wschodnich dzielnic na jakże cenne dla potomności, następne dwie dekady.

Zagończycy nie zagrzażyli długo miejsca w charakterze baranowickiego garnizonu. Niebawem zluźnowali ich w tej roli 10. Pułk Ułanów Litewskich, podczas gdy nasi bohaterowie podążyli do Lidy, na Wielkanocne przeformowanie. Tym razem już w pełnoetatowy 13. Pułk Ułanów Wileńskich, pod niezmienianą komendą majora Władysława Dąbrowskiego. W ten sposób w nowych, macierzystych koszarach Nowej Wilejki, akurat podczas Świąt Zmartwychwstania Pańskiego, dobiegł końca partyzancki epos rodem z kawaleryjskiej legendy. Narodzonej i doprowadzonej do szczęśliwego zakończenia dzięki patriotyzmowi i samozaparciu kresowych rodaków wszystkich stanów, których bezprzykładna ofiarność stała się siłą sprawczą utrzymania przy Rzeczpospolitej jej północno-wschodnich dzielnic na jakże cenne dla potomności, następne dwie dekady.

1) Powstała w 1917 roku, polskojęzyczna jednostka bolszewickiej kawalerii była integralną częścią Armii Czerwonej; lewacy historycy głoszą jej udział wyłącznie w bitwach na frontach wojny domowej pod Jarostawiem, Moskwą, Kazaniem itp., mimo to, jak widać protoplaści Płatnych Pachołków Rosji walczyli też przeciw Polakom, np. na wileńszczyźnie.

2) Lokalna szlachta, ziemianie, chłopcy i inteligencja, zgromadzona wzorem Polskiego Ruszenia, z własnymi końmi, ekwipunkiem i improwizowanym umundurowaniem.

3) Wśród kilku poległych znalazł się niestety kapitan Władysław Steckiewicz (serdecznie polecam zapoznanie się z biografią tego kresowego bohatera).

Enter, czyli pierwszy papieski mail na świat

Był 22 listopada 2001 r., kiedy Jan Paweł II z Sali Klementyńskiej, rozesłał treść adhortacji „Ecclesia in Oceania” za pomocą klawisza „ENTER”. Tym samym papież wysłał pierwszego w życiu e-maila, a Kościół – dokument papieski.

Z Internetu Stolica Apostolska korzystała już wcześniej – przy pracach przygotowawczych nad dokumentem, głównie z racji na ogromne odległości Kościoła rozproszonego w Oceanii. Niemniej e-mail wysłany przez papieża z dokumentem, który stanowił podsumowanie Synodu w Oceanii stał się bezprecedensowym wydarzeniem w historii Kościoła katolickiego.

Drugim przykładem, który może posłużyć do tego, że Jan Paweł II wykorzystywał rozwój technologii do kontaktu z wiernymi na całym świecie, jest marzec 2002 r. Wtedy dzięki połączeniu internetowemu papież spotkał się z wiernymi z Rosji. Na program spotkania z Janem Pawłem II złożyły się wspólna modlitwa i Msza św. w intencji jedności chrześcijan Europy i wspólna modlitwa wiernych z Moskwy z ich współwyznawcami w Atenach, Budapeszcie, Strasburgu, Wiedniu i Walencji.

W latach 1995–2002 papież był uważnym obserwatorem rozwoju Internetu. W Stolicy Apostolskiej były prowadzone prace, które miały rozwijać stronę internetową. Doradcami papieża w zakresie postępu technologicznego i Internetu byli światowej sławy eksperci. W historii pontyfikatu Jana Pawła II rok 2002 zapisał się jako rok, w którym papież w sposób szczególny zwracał uwagę na to co Internet może światu dać lub odebrać w kolejnych dziesięcioleciach. Dokumenty w tym zakresie wydała także Papieska Rada ds. Środków Społecznego Przekazu.

- Media to coś więcej niż tylko narzędzia, to nie tylko multiplikowanie treści. Media to nowy język, nowe sposoby komunikowania się ludzi, a w związku z tym nowy typ relacji międzyludzkich, to nowa kultura. Papież nazywa to zjawisko „kulturą medialną”. Jan Paweł II widzi media i Internet w tym głównym nurcie swoich rozważań, swojego dialogu z kulturą - mówi ks. dr hab. Mirosław Chmielewski, który na Wydziale Teologii KUL zajmuje się Współczesnymi Formami Przekazu Wiary i przywołuje słowa Jana Pawła II: „Gdy Kościół oddala się od kultury milknie też Ewangelia”.

Prekursor czasów

Internet pojawił się w Watykanie na życzenie papieża w 1993 r. Niespełna dwa lata później, w 1995 r., w Stolicy Apostolskiej zostały podjęte pierwsze prace związane z wykorzystaniem Internetu w pracy Kościoła. Najpierw powstała strona vatican.va, gdzie do dzisiaj można przeczytać teksty wszystkich papieskich wystąpień z okresu 30 lat.

Jan Paweł II osobiście nie korzystał na stałe z komputera, uznał jego użyteczność, a zarazem rozumiał, że to urządzenie, a w następstwie rozwój technologii może Kościołowi pomóc w dotarciu z nauczaniem Magisterium Kościoła do wiernych na całym świecie – o ile będzie roztropnie użytkowane i stosowane.

„W tę nowoczesną i coraz bardziej rozwiniętą sieć masowej komunikacji musimy wejść pełni realizmu i ufności, przekonani o tym, że jeśli będzie ona wykorzystana w sposób kompetentny i ze świadomą odpowiedzialnością, może zaoferować właściwe środki dla przekazu ewangelicznego. Nie lekajmy się zatem wypłynąć na głębię wielkiego oceanu informatyki” – mówił Papież.

Papieskie „Nie” dla hejtu

W Orędziu „Misja Kościoła w erze komputerów” z 1990 r. na Światowy Dzień Środków Społecznego Przekazu, Jan Paweł II napisał, że wraz z pojawianiem się komputerowych technik komunikowania, Kościół otrzymał nowe narzędzia do realizacji swojej misji, możliwość szybszego informowania świata o swoim nauczaniu i wyjaśniania swego stanowiska wobec każdego proble-

mu. Nauczanie Jana Pawła II w odniesieniu do komputerów, sieci informatycznych, a także rozwoju takich mediów jak. np. Telewizja - w połowie lat 90. XX w było niezwykle ostrożne i roztropne. Jego pogląd na temat rozwoju technologicznego w tej dziedzinie życia społecznego został zawarty w Orędziu na 17. Światowy Kongres Międzynarodowej Unii Prasy Katolickiej (UCIP) w Grazu. Papież przestrzegł, że „środki te wpływają na depersonalizację sposobów komunikacji. Zaznaczył zarazem, że media nowego typu są szansą dla współczesnego człowieka”. Podkreślał, że potrzeba norm i zasad prawnych w dziedzinie informacji, ponoszenia odpowiedzialności za jej fałszowanie – szczególnie w Internecie, który już wtedy dawał możliwość sporej anonimowości. Jan Paweł II apelował o takie podejmowanie działań w sieci, by nosiły znamiona szacunku do człowieka. Uważał, że środki masowego przekazu cechuje niebezpieczna tendencja do zastępowania organizacji wychowawczych poprzez ukazywanie nie zawsze pozytywnych wzorców kultury i postępowania dla młodych, którzy pozostają wobec nich bezbronni.

Internetowa era ewangelizacji

„Papież przez cały swój pontyfikat był wyculony na znaki czasu i dał impuls, aby komunikacja za pomocą mediów rozwijała się także w Kościele. Chociażby tworząc struktury do świata mediów w Kościele i Watykanie. Papież pokazywał innym hierarchom w ich diecezjach: „Wy też macie to zrobić u siebie”. Kościół jest hierarchiczny, zatem struktury w diecezjach czy kościołach lokalnych są wzorowane na Watykanie. Papież był zatem świadom, że daje przykład i sygnał „też możecie mieć Internet” – dodaje ks. M. Chmielewski.

Jan Paweł II uważał, że internet podobnie jak inne środki przekazu, jest narzędziem, nie celem samym w sobie. Podkreślał, że Internet może otworzyć wspaniałe możliwości przed ewangelizacją, gdy korzysta się z niego w sposób kompetentny i z jasną świadomością jego wad i zalet. Przede wszystkim, dostarczając informacji i pobudzając zainteresowanie, umożliwia on początkowe zetknięcie się z przesłaniem chrześcijańskim, zwłaszcza wśród młodych, którzy coraz bardziej zwracają się do świata cyberprzestrzeni jako okna na świat.

Papież bardzo często używał sformułowania „o informacji medialnej” lub „edukacji medialnej”. Akcentował, że potrzebna jest nie defensywa, ale edukacja i formacja do krytycznego odbioru i tworzenia świata mediów – mówi ks. M. Chmielewski.

Ważnym dokumentem z 2002 r. jest także Instrukcja wydana przez Papieską Radę ds. Środków Społecznego Przekazu – „Kościół, a Internet”. - Dowiadujemy się z niej, że osoby, które zajmują pozycję w Kościele powinny zrozumieć wagę Internetu w świecie współczesnym” – zaznacza ks. M. Chmielewski. - Watykan był świadomy, że to jest narzędzie, które może pójść w każdym kierunku, dlatego zwracał uwagę na potrzebę uregulowania pewnych kwestii prawnie – dodaje ekspert KUL.

Testament medialny papieża

Ostatnim dokumentem podpisanym przez papieża Jana Pawła II jest List Apostolski „Szybki Rozwój” z dnia 24 stycznia 2005 r., nazywany przez ekspertów „Testamentem medialnym papieża”. Mowa o Liście, który papież skierował do odpowiedzialnych za środki społecznego przekazu.

Ks. Chmielewski podkreśla, że przesłanie Listu Apostolskiego jest wielorakie. - Przede wszystkim, aby nie bać się świata mediów, nie bać się Internetu, nie bać się nowych narzędzi. Papież był świadomy, że to wszystko dokonuje się mocą Ducha Świętego. Nie da się prowadzić ewangelizacji, mając nawet super narzędzia, bez Ducha Świętego i kontaktów face to face. Wiara rodzi się z kontaktu bardzo osobistego z głoszącym i kontaktu osobistego z tym, któremu się głosi nauczanie Chrystusa – wyjaśnia ks. M. Chmielewski.

Małgorzata Oroń/Monika Stojowska/KUL

Święty

Z otwartym sercem szedł do ludzi, w świat, który pokusę pełną, żeby w rodakach skruchę wzbudzić, przywrócić wiarę w ideały.

Bronił nędzarzy, ganił sytych, uczył jak życie przeżyć godnie, by światłem prawdy się zachwycić, i kraj upadły z ruin podnieść.

Wdziął biały habit, znak czystości, ufał, że dobrem zło pokona, i dzięki mocy opatrności, znękaną naród wstanie z kolan.

Trzy pozostawił charyzmaty, Niepokalanej kult rozszerzać, wspierać maluczkich, niebogaty, za dusze modlić się żołnierzy.

(Św. ojcu Stanisławowi Papczyńskiemu, twórcy Zgromadzenia Księża Marianów)

18.11.2023

Bogumił Liszewski

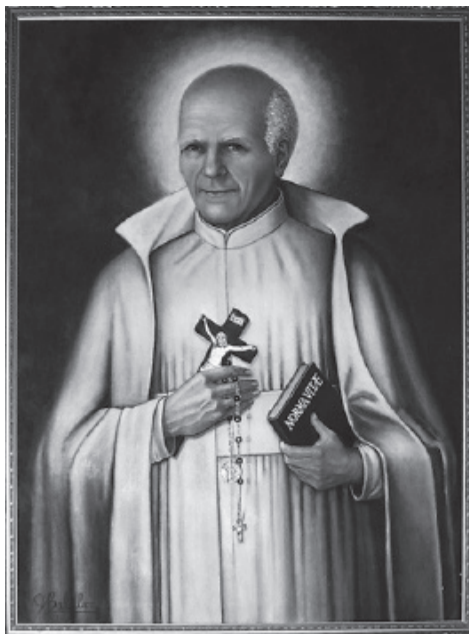
Zgromadzenie Księża Marianów

Zgromadzenie Księża Marianów Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny założone zostało w 1673 roku. W Polsce sprawuje opiekę nad słynnym Sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej w Licheniu. Marianie byli pierwszym męskim zgromadzeniem duchownym w I Rzeczypospolitej o rodowodzie wybitnie narodowym, które przetrwało do naszych czasów. Na ziemiach polskich początkowo funkcjonowały tylko zakony wywodzące się z Niemiec, Hiszpanii, Francji, Węgier czy Włoch. Marianie nosili białe habity i wyróżniali się szczególnym nabożeństwem do Najświętszej Maryi Panny oraz gorliwą modlitwą za dusze zmarłych bez sakramentów i ofiar epidemii.

Początki zgromadzenia związane są z leżącą na Mazowszu koło Skierniewic wioską Puszcza Mariańska, w której powstał pierwszy dom rekolekcyjny oraz podwarszawska Góra Kalwaria, gdzie do dzisiaj funkcjonuje słynny Wieczernik, czyli kościół Wierzy Pańskiej, zbudowany w latach 1674-1677 przez poznańskiego biskupa, Stefana Wierzbowskiego. Świątynia ta powstała półtora kilometra na południowy-zachód od centrum miasta, poza jego granicami, na trudno dostępnym, podmokłym terenie. Była częścią większego projektu architektoniczno-sakralnego wznoszonego od 1670 r., miasta Nowa Jerozolima, bo tak nazywała się wówczas Góra Kalwaria. Miasto miało być sanktuarium pasyjnym dla mieszkańców Mazowsza. Budowane było na wzór powstałych wcześniej Kalwarii Zebrzydowskiej czy też Kalwarii Paławskiej. Miejscowość stanowiła imitację biblijnej Jerozolimy z czasów Jezusa Chrystusa.

Nowa Jerozolima nie była wyłącznie ośrodkiem sakralnym, ale także tętniącym życiem normalnym miastem. Pomędzy obiektami sakralnymi znajdowały się domy mieszkalne, obiekty handlowe, stragany, szpitale i inne budynki użyteczności publicznej. Odbierały się tutaj targi, jarmarki, istniały gospody i zajazdy, działała królewska komora solna oraz stacja konna, przy której posłańcy zatrzymywali się na odpoczynek i popas koni. Miasto czerpało dochody m.in. z obsługi pielgrzymek, z opłat uiszczanych przez kupców spławiających towary do Torunia i Gdańska, połowu ryb na Wiśle i z wielu innych źródeł.

Opiekę duszpasterską nad obiektami



Portret św. ojca Stanisława Papczyńskiego z Wieczernika na Mariankach w Górze Kalwarii.



Portret biskupa Stefana Wierzbowskiego, założyciela miasta Nowa Jerozolima, obecnie Góra Kalwaria

mi sakralnymi, których było kilkadziesiąt, fundator miasta, poznański biskup Wierzbowski (diecezja poznańska obejmowała wówczas także Mazowsze), powierzył siedmiu zakonnikom. Siostry dominikanki posługiwały w Wieczerniku, przy którym zbudowano drewniany klasztor, jednak dość szybko opuściły to miejsce ze względu na niezdrowy klimat i trudności z zagospodarowaniem terenu. Wówczas biskup Wierzbowski zaprosił do opieki nad Wieczernikiem marianów. Zgromadzenie obchodziło wówczas czwartą rocznicę powstania, a jego sytuacja prawna w strukturach kościelnych nie była jeszcze uregulowana. Zatwierdzenie swojej wspólnoty na prawie diecezjalnym uzyskali dopiero dwa lata później, a przywilejem królewskim i decyzją polskiego sejmiku zostali wzięci pod specjalną protekcję Rzeczypospolitej. Dzięki uporowi i ciężkiej pracy zakonnikom udało się zamienić tereny wokół Wieczernika w urodzajne pola i łąki, a świątyni nadano wezwanie Opatrzności Bożej.

Obecnie jest to dzielnica Góry Kalwarii nazwana Mariankami. Obok Wieczernika, który został odbudowany w pierwotnym kształcie, stoi dom



Dom zakonny marianów oraz muzeum im. św. ojca Stanisława Papczyńskiego



Ółtarz boczny św. ojca Stanisława Papczyńskiego w kościele Michała Archanioła w Puszczy Mariańskiej

zakonny, w którym jest muzeum oraz plenerowe stacje Drogi Krzyżowej, lapidarium kalwaryjskich figur z siedemnastego wieku i liczne tablice informacyjne zawierające opisy historycznych wydarzeń związanych z powstaniem zgromadzenia, biografią założyciela czy historią kościoła i miasta. Decyzją metropolity warszawskiego w 2018 r. utworzono tutaj Sanktuarium św. ojca Stanisława Papczyńskiego, który był założycielem zgromadzenia marianów.

Jest on zaliczany do najwybitniejszych postaci siedemnastowiecznej Polski. Urodził się 18 maja 1631 r. w Podegrodziu, koło Starego Sącza, w rodzinie kowala, rolnika i miejscowego sołtysa, Tomasza Papki, oraz Zofii z domu Tackowskiej. W młodości miał problemy z nauką pisania i czytania, które jednak w końcu przezwyciężył. Bardzo często zmieniał szkoły, kształcąc się w kolegiach jezuitów, franciszkańskich i pijarskich, m.in. w Jarosławiu, Lwowie czy Podolińcu. Wykształcenie średnie uzyskał ostatecznie w Rawie Mazowieckiej i w wieku dwudziestu trzech lat wstąpił do nowicjatu Zakonu Szkół Pobożnych, potocznie nazywanego pijarami. Ich kolegium leżało w należącej wówczas do Polski spiskim Podolińcu (obecnie na Słowacji). Przyjął tam zakonne imię, Stanisław od Jezusa i Maryi, i zmienił nazwisko z Papka na Papczyński. Świecenia kapłańskie uzyskał w 1661 r. Podczas pobytu w tym zakonie wykładał retorykę w Podolińcu, Rzeszowie i Warszawie.

Po szesnastu latach, za zgodą papieża, opuścił zakon pijarów i przystąpił do tworzenia własnego zgromadzenia. Jego biografowie przypuszczają, że na decyzję tę wpłynęły powszechne wówczas różnice narodowościowe i nieporozumienia na tym tle między Polakami a Niemcami, występujące w ówczesnym zakonie pijarów. Ojciec Stanisław Papczyński był pierwszym zakonnikiem narodowości polskiej w nowo utworzonej prowincji tego zakonu obejmującej Rzeczpospolitą.

W napisanej przez siebie konstytucji zawierającej reguły nowego zakonu, polecił marianom szerzenie kultu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, aktywne wspieranie modlitwą zmarłych żołnierzy i ofiar epidemii oraz prowadzenie intensywnej pracy duszpasterskiej, szczególnie wśród ludzi prostych i zaniedbanych religijnie. Od członków zgromadzenia wymagał ascetycznego, surowego, pełnego pokory trybu życia w kontemplacji i modlitwie. Ta surowa reguła nie przypadła do gustu niektórym zakonnikom i kandydatom pragnącym wstąpić do wspólnoty, więc początkowo rozwój zgromadzenia przebiegał bardzo powoli.

W chwili śmierci założyciela wspólnota funkcjonowała jako zgromadzenie na prawie papieskim, jednak przez długi okres objęta była kuratelą zakonu franciszkanów obserwantów. Oprócz klasztoru w Nowej Jerozolimie i Puszczy Korabiewskiej (obecnie Puszczy Mariańskiej) posiadała dom zakonny w Goźlinie koło Czerska, a od 1710 r. także w Skórczu koło Siedlec i liczyła łącznie około trzydziestu zakonników. Konstytucja zakonu zatwierdzona została



Ółtarz główny kościoła pw. Opatrzności Bożej - Wieczernika

przez papieża w 1723 r. Kolejne placówki powstały za rządów sługi Bożej, ojca Kazimierza Woszyńskiego, m.in. w Berezowie na Wołyniu, Mariampolu na Litwie oraz w Rzymie i w Balsamao w Portugalii. Zakon liczył wówczas stu pięćdziesięciu zakonników i posiadał dwanaście domów, w tym pięć zagranicznych.

Zgromadzenie mariańskie cieszyło się autorytetem wśród ówczesnej arystokracji, o czym świadczy fakt, że twórcy Konstytucji 3 Maja wyznaczili go na opiekunów świątyni Opatrzności Bożej. Kościół ten miał być formą wotum dziękczynnego narodu za uchwalenie Konstytucji. Jednak ze względu na utratę przez Polskę suwerenności projekt ten zrealizowano dopiero w 2016 roku.

Wieczernik jest jednym z dwóch zachowanych obiektów sakralnych zbudowanych w Nowej Jerozolimie w początkach miasta i stanowi pamiątkę po latach jego dawnej świetności. Upadek miejscowości nastąpił po śmierci biskupa Wierzbowskiego, a przyczynami były m.in. wielka epidemia, która wybuchła w 1708 r., zniszczenia powstałe na skutek walk polsko-rosyjskich w czasie insurekcji kościuszkowskiej oraz rozbiory. To wówczas zmieniono nazwę miasta na Góra Kalwaria. Marianie zostali wypędzeni przez cara, który po powstaniu styczniowym dokonał kasaty wszystkich polskich zakonów. Byli skazani na wygnanie, zakonnicy dożywali swoich dni w klasztorze w Mariampolu. Na początku dziewiętnastego wieku ostatni żyjący tam marianin, ojciec Wincenty Sękowski, tak napisał: „Czy jest choć jakaś iskierka nadziei, czy też opuścić ręce i przygotować dwie trumny, jedną dla siebie, drugą dla... zgromadzenia?”

Obawy ojca Sękowskiego nie sprawdziły się. Znalazła się osoba, która pomimo zakazu władz carskich, w konspiracji przyczyniła się do odrodzenia zgromadzenia. Był to ks. Jerzy Matulewicz, późniejszy biskup wileński. Do czasu odzyskania przez Polskę niepodległości zakon działał w ukryciu, jako zgromadzenie bezhabitowe. Marianie ujawnili się dopiero w 1918 r. Nastąpiła wówczas zmiana koloru habitów, z białych na czarne, podobne do sutann księży diecezjalnych.

W marcu 1952 r., po osiemdziesięciu ośmiu latach od chwili wygnania, marianie powrócili do Góry Kalwarii. Objęli wówczas opiekę nad miejscową parafią i zbudowanym w połowie osiemnastego wieku kościołem pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Przy Wieczerniku osiedlili się ponownie po jego odbudowie dopiero w 1973 r., po stu dziewięciu latach od jego opuszczenia.

Założyciel zgromadzenia, św. Stanisław Papczyński, spoczywa w sarkofagu z białego marmuru, który znajduje się po lewej stronie ołtarza głównego kościoła na Mariankach. Jego beatyfikacja odbyła się za pontyfikatu papieża Benedykta XVI, we wrześniu 2007 r. w Licheniu, a kanonizacji dokonał papież Franciszek w czerwcu 2016 r. w Watykanie. Decyzją rady miejskiej został patronem miasta i gminy Góra Kalwaria.

Cd. na str. 11

Założyciel marianów odznaczał się szczególną wrażliwością na problemy społeczne, takie jak ubóstwo, choroby, alkoholizm, nierówności socjalne.



Sarkofag św. ojca Stanisława Papczyńskiego z Wieczernika na Mariankach w Górze Kalwarii pochylony lekko w prawą stronę w kierunku ołtarza głównego



Płyta nagrobna członków wspólnoty mariańskiej posługujących w Wieczerniku w latach 1677-1867

Stawał w obronie ludzi biednych i pokrzywdzonych, odwołując się do chrześcijańskiego obowiązku miłości bliźniego. Nazywano go „ojcem ubogich”. Pozostawił po sobie sporą spuściznę piśmienniczą, która w ostatnich latach



Kamień z inskrypcją oraz pomnik Jana III Sobieskiego upamiętniające pobyt króla w Puszczy Mariańskiej podczas podróży pod Wiedeń



Klasztor zgromadzenia marianów w Puszczy Mariańskiej

przetłumaczona została z łaciny na język polski i stanowi przedmiot badań naukowych. Do najśłynniejszych dzieł należą: *Norma vitae, czyli Konstytucja zakonna, Prodromus reginae artium* (Zwiastun królowej sztuk, czyli kształcenie adeptów kunsztownego przemawiania), słynny podręcznik retoryki będący w użyciu jeszcze długo po śmierci autora, traktaty ascetyczne (*Mistyczna świątynia Boga i Wejrzenie w głąb serca*) czy też zbiory kazań.

Ojciec Papczyński znany był jako znakomity mówca. Umiejętnością tą zdobywał uznanie u najwybitniejszych postaci swojej epoki. Wielbicielem jego talentu był m.in. polski król Jan III Sobieski, którego był spowiednikiem i doradcą. W kolebce marianów w Puszczy Mariańskiej, w pobliżu kościoła parafialnego pw. Michała Archanioła, stoi pomnik tego króla. Zatrzymał się on tam podczas wyprawy pod Wiedeń, w sierpniu 1683 r. Na pamiątkę tego wydarzenia, w międzywojennej Rzeczypospolitej, w pobliżu lipy, pod którą według podań odpoczywał polski król, ustawiono głaz pamiątkowy z inskrypcją. Penitentem ojca Stanisława był również ówczesny nuncjusz apostolski w Polsce, Antonio Pignatelli, przyszły papież Innocenty XII.

Z oryginalnej pustelni znajdującej się w Puszczy Mariańskiej, która była kolebką wspólnoty mariańskiej w drugiej połowie siedemnastego wieku, nie zachował się do dzisiaj żaden ślad. Pozostała za to modrzewiowa kaplica pamiętająca czasy założenia zgromadzenia. Obecny kościół, w którym posługują marianie, odbudowany został po pożarze, który miał miejsce w 1993 roku. Zachowało się też kilka innych pamiątek, m.in. siedemnastowieczny krucyfiks, monstrancja, portret ojca Stanisława oraz znajdująca się przy wia-dukcie Kaplica dusz czystcowych.

Najważniejszym elementem kościoła parafialnego jest znajdujący się w ołtarzu głównym obraz Najświętszej Marii Panny dziesięciu cnót. Ikona, przed którą założyciel marianów złożył deklarację o założeniu zakonu, znajduje się w ołtarzu głównym starej kaplicy. Obraz ten był darem papieża Urbana VIII dla Adama Karskiego, przechowywano go początkowo w pałacu w Luboczy. Jakub Karski podarował go ostatecznie marianom. Ozdobiony jest wotami dziękczynnymi, bowiem zasłynął licznymi cudami.

Zgromadzenie Księży Marianów dość szybko stało się wspólnotą o charakterze międzynarodowym. Obecnie funkcjonują w dziewiętnastu krajach świata, posiadają osiemdziesiąt placówek obsługiwanych przez około pięćset księży i braci. Pełnią posługę duszpasterską w parafiach, prowadzą szkoły, prace naukowe i działalność wydawniczą, wypełniając testament swojego założyciela.

Ewa i Bogumił Liszewscy
Fot. z archiwum autorów

Jak przez wieki polska emigracja swój kraj ocalała

Co robić, kiedy przegrywamy walkę o nasz kraj? Emigracja jest jednym z wyjść, historycznie wypróbowanych przez Polaków. Emigracja polityczna to wyjście z myślą o powrocie – do kraju znowu wolnego. O powrocie z bronią w rękę, z gotowymi pomysłami reformy i pomocnymi krajowi kontaktami wyrobionymi w świecie, wreszcie z zarobionymi w innych krajach i warunkach pieniędzmi, które przydadzą się jako inwestycja we własnej ojczyźnie.

To doświadczenie ćwiczone w naszej historii od XVIII wieku, kiedy poddana zewnętrznej kontroli Rzeczpospolita straciła niepodległość i znaleźli się ludzie, którzy postanowili o tę niepodległość walczyć – ale przegrali. Pierwszym wielkim powstaniem w była niemal całkowicie zapomniana dziś konfederacja dzikowska, zawiązana w roku 1734 w Dzikowie, ale ogarniająca zbrojnym oporem znaczną część Rzeczypospolitej.

Było to wystąpienie przeciw otwartej, militarnej interwencji Rosji, która narzuciła w roku 1733 Polsce króla wbrew woli obywateli. Obywatele wybrali Stanisława Leszczyńskiego, a caryca rosyjska – Augusta III Sasa. Wtedy właśnie, wobec wkroczenia wojsk rosyjskich młody ksiądz z zakonu pijarów, Stanisław Konarski, spopularyzował na nowo pojęcie niepodległości w swoich Listach poufnych z czasu bezkrólewia. Służył konfederatom do 1736 roku, zabiegając o pomoc dyplomatyczną Francji. Kiedy to się nie udało – wrócił z emigracji do kraju: z głową pełną pomysłów, jak podnieść ojczyznę z upadku. Z pobytu w krajach zachodniej Europy przywiózł nowe koncepcje edukacji – i według nich przygotował pierwszą szkołę odnowy Rzeczypospolitej, Collegium Nobilium w Warszawie, oraz zreformował całą sieć szkolnictwa pijarskiego, łącząc w nowoczesnym systemie naukę współczesnego świata z wychowaniem do obywatelskiego obowiązku. By przyśłużyć się ozdrowieńczej reformie instytucji politycznych, przygotował najważniejsze dzieło polskiej publicystyki politycznej wieku XVIII: O skutecznym rad sposobie, wbijające do głów sarmackich potrzebę odrzucenia liberum veto, którym manipulują dla zniewolenia naszego kraju sąsiedzi. Bez Konarskiego nie byłoby Konstytucji 3 maja.

Wcześniej jednak, wobec kolejnej interwencji zbrojnej Rosji w samej Warszawie – porwania senatorów i posłów na rozkaz Katarzyny oraz narzucenia Rzeczypospolitej formalnej „protekcji” rosyjskiej – wybuchło kolejne wielkie powstanie: trwająca cztery lata konfederacja barska. Przegrała w starciu z przemocą sąsiedniego imperium. I ona jednak pozostawiła w działaniach jednego ze swych posłów-emigrantów przykład tego, o co można i trzeba zabiegać, kiedy los wyrzuci nas ze zniewolonego kraju. Katarzyna II i Fryderyk II Pruski, by przygotować uzasadnienie rozbioru Polski, tworzyli w tych latach niezwykle skutecznie propagandowy obraz Rzeczypospolitej jako czarnej dziury na mapie europejskiego oświecenia, siedlisko ciemnoty i zabobonu, które tylko pruskie i moskiewskie bagnety mogą uporządkować. Taki obraz z pieniędzy obu rozbiorców szkicowały najpierwsze pióra oświeczonej Europy: Wolter, Diderot, baron Grimm. Na to właśnie odpo-

wiedziały działania posła konfederacji, a potem emigranta – kuchmistrza wielkiego litewskiego, Michała Wielhorskiego. Pomocy dyplomatycznej Paryża nie zdobył, ale rozumiejąc, jak ważna jest walka o obraz kraju w międzynarodowej opinii publicznej, nawiązał kontakt z jej ówczesnymi współkreatorami: Gabrielem Mably i Janem Jakubem Rousseau. Obaj słynni filozofowie pod jego wpływem i na podstawie dostarczonych przez niego materiałów napisali dzieła, które tworzyć będą istotny kontrnurt wobec „czarnej legendy” Polski. Zwłaszcza książka Rousseau, Uwagi o rządzie polskim, stanie się trwałym punktem odniesienia na mapie intelektualnej Europy, w którym wolność sarmacka nie

Przez czas rozbiorów i niewoli to Polacy na emigracji nie tylko stanowili intelektualne zaplecze kraju, ale też przechowali polskość dla odrodzonej Polski i współczesnych pokoleń.

jest potępiona jako „ciemnota i anarchia”, ale doceniona jako przejaw republikańskiego ducha. A dla Polaków stanie się jeszcze jednym drogowym punktem na przyszłość: „Jeżeli nie możecie sprawić, by sąsiedzi was nie połknęli, sprawcie, by nigdy nie mogli was strawić”. Kultura, kultura narodowa jest najważniejsza – to ogłosił namodowany przez barskich emigrantów Rousseau.

I wiemy z historii wieku XIX, już po wykreśleniu Rzeczypospolitej z mapy przez trzy imperia, że ta rada okaże się długofalowo zbawienna, a emigracja odegra w jej wypełnieniu rolę najważniejszą.

Oczywiście wiemy także, że kolejne fale emigracji, bezpośrednio po upadku, najpierw upadku Konstytucji 3 maja wskutek najazdu armii Katarzyny w 1792 r., a potem już po ostatecznym rozbiorze Polski w roku 1795, zajmowały się przede wszystkim przygotowaniami politycznymi i organizacyjnymi do wznowienia walki zbrojnej o niepodległość i szukania dla niej pomocy na Zachodzie. Wynikiem pierwszej z tych emigracji (koncentrowała się w Dreźnie i rewolucyjnym Paryżu) było przygotowanie insurekcji kościuszkowskiej. Druga emigracja, ta po klęsce insurekcji, przyniesie jako swój najważniejszy owoc Legiony Dąbrowskiego – te, które ostatecznie „z ziemi włoskiej do Polski” doszły, wraz z Napoleonem, w roku 1806. Pozwoliło to na odtworzenie załączka polskiej państwowości: Księstwa Warszawskiego. Choć Napoleon przegrał kolejną konfrontację z Rosją i sprawa Księstwa została pogrzebana, to jednak ów wysiłek, który symbolizowały stworzone przez emigrację Legiony, nie poszedł całkiem na marne. Na kongresie wiedeńskim po wojnach napoleońskich przywrócono nazwę Królestwa Polskiego, choć tylko jako małego obszaru w ramach panowania cara Aleksandra I. Przez kolejnych 15 lat (1815-1830) Polacy mieli znowu namiastkę swojej państwowości. Cenną, ale niewystarczającą dla tych, którzy chcieli niepodległości i całości Rzeczypospolitej. Wybuchło więc kolejne powstanie, nazwane listopadowym. I ono zostało pokonane przez najpotężniejszą wtedy armię świata cara Mikołaja. Klęska powstania wywołała największą z dotychczasowych fal emigracji.

Od 1831 roku pojawia się w historii Polski, polskiej kultury na pewno, ten wielokrotnie odnawiający się później, aż do drugiej połowy XX wieku, podział:



Śp. Anna J. Kuszell
25.05.1930 – 11.03.2024
Ukochana żona śp. Józefa,
mama śp. Roberta, teściowa Maria i babcia Dylan.
Działaczka polonijna.
Pokój Jej szlachetnej duszy!
Pogrążona w smutku Rodzina

Bieg „Tropem Wilczym” w Perth

W sobotę, 9 marca 2024 roku, społeczność Polskiej Szkoły w Zachodniej Australii po raz trzeci wzięła udział w Biegu „Tropem Wilczym”, odbywającym się w ramach Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, a organizowanym na terenie Australii przez Stowarzyszenie „Nasza Polonia”.



W Perth do organizacji obchodów – w ramach których oprócz Biegu odbyły się także Msza św. w intencji Żołnierzy Wyklętych i projekcje filmów – włączyły się Polska Szkoła w Zachodniej Australii, Związek Polskich Więźniów Politycznych w Australii oraz Polski Ośrodek Rzymskokatolicki w Maylands.



Kwadrans po godzinie 12 w południe uczniowie, rodzice i nauczyciele zebrali się w parku przy Lake Monger w dzielnicy Wembley, aby uczcić pamięć Żołnierzy Niezłomnych, którzy w antykomunistycznym, niepodległościowym ruchu partyzanckim stawiali opór sowietyzacji Polski i podporządkowaniu jej ZSRR. Za swoją walkę zapłacili najwyższą cenę, oddając swoje życie.



Dyrektor szkoły Małgorzata Wray powitała wszystkich serdecznie i zaprosiła do wspólnego odśpiewania hymnu Polski. Następnie przekazała mikrofon przedstawicielce komitetu organizacyjnego, Annie Lilpop, która wraz z Rafałem Melzeckim i Tadeuszem Milewskim koordynowała organizację i przebieg Biegu. W swojej wypowiedzi Pani Lilpop przywołała historie kilku bohaterów, w tym Danuty Sędzikówny „Inki”, wyjaśniając młodemu pokoleniu, czym była bo-



Od lewej: Martyna Malenka, Małgorzata Wray, Bernardeta Nowak, Tadeusz Milewski, Rafał Melzecki, Anna Lilpop.



Małgorzata Wray (przy mikrofonie) i Anna Lilpop



haterska walka Żołnierzy Wyklętych.

Po części oficjalnej zorganizowano biegi w pięciu grupach wiekowych (przedszkolaki, klasy młodsze, klasy starsze, grupa mieszana i dorośli) na trzech różnych dystansach. Oficjalny, pełny dystans Biegu „Tropem Wilczym” wynosi 1963 metry i symbolizuje on datę śmierci ostatniego Żołnierza Wyklętego – Józefa Franczaka „Lalka”.

Mali i duzi uczestnicy Biegu dali z siebie wszystko. Każdy uczestnik otrzymał dyplom (pięć pierwszych miejsc w każdej grupie wiekowej – dyplomy imienne), medal i kopię okolicznościowego listu Prezydenta RP Andrzeja Dudy. Dodatkowo zwycięzcy zostali nagrodzeni koszulkami z poprzednich edycji biegu, prezentującymi wizerunki Żołnierzy Wyklętych. Komitet szkolny zapewnił mały, słodki poczęstunek dla biegaczy.

Inicjatywa Biegów Pamięci Żołnierzy Wyklętych realizowana jest od 2013 roku, a od 2014 ich głównym organizatorem jest Fundacja „Wolność i demokracja”. Biegi „Tropem Wilczym” w Australii odbywają się od 2015 roku, a ich głównym organizatorem jest Stowarzyszenie „Nasza Polonia”.

ECHA OBCHODÓW 2023 ROKU P.E. STRZELECKIEGO W WIELKOPOLSCE

Marysia Thiele
zdjęcia M. Thiele, Z. Leliwa

Obchody Roku Pawła Edmunda Strzeleckiego w Wielkopolsce celebrowano przez cały 2023. Koncerty, zmieniająca miejsca wystawa uliczna, przedstawienia, spotkania, imprezy sportowe i wykłady zapełniały program na przestrzeni roku, utrudniając decyzję, w czym wziąć udział i kiedy polecieć do Polski. Sprawę przesądziła wiadomość od dyrektora dworu-muzeum w Koszuchach Jacka Piotrowskiego o przygotowaniu do otwarcia *Pokoju Pana – Pawła Edmunda Strzeleckiego* w roku 2023. Na oficjalne otwarcie gabinetu wybrałam datę 02.10.

W swej uprzejmości Prezes Wielkopolskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, dr Izabela Wyszowska, dostosowała do mojej obecności uroczystość nadania imienia P.E. Strzeleckiego *Domowi Polonii* w Poznaniu, wyznaczając datę 04.10. oraz jako prezes *Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk* datę sesji naukowej „Paweł Edmund Strzelecki” na dzień 05.10. W Głuszynie i na Wzgórzu św. Wojciecha obchody 150. rocznicy śmierci podróżnika zaplanowano na 06.10.



MARYSIA THIELE Reprezentantka Polonii Australijskiej na obchodach 2023 ROKU PAWŁA EDMUNDA STRZELECKIEGO W POLSCE

Dzięki temu na powyższych uroczystościach reprezentowałam Polskę Australijską, tę zrzeszoną i tę niezrzeszoną, osobiście ponosząc koszt podróży oraz pobytu. Żadna organizacja mnie nie sponsorowała, a ja nie reprezentowałam żadnej organizacji.

Paweł Edmund Strzelecki, najmłodszy Polak w Australii, pochodził z Wielkopolski. W latach 1839 do 1843 przebywał w Australii, penetrując pas Nowej Południowej Walii od Sydney do Port Phillip (Melbourne) i Van Diemen's Land (Tasmania), przyczyniając się do powstania nowego stanu Victoria, po eksploracji nieprzebytego wówczas przez białych Gippslandu. W wyniku badań, odkryć i publikacji naukowych przyczynił się do rozwoju gospodarczego Australii, za co nigdy nie został wynagrodzony przez władze kolonii, jak również przez rząd Wielkiej Brytanii. Pozostawił po sobie pierwsze mapy szlaku, który przewędrował przeważnie pieszo, pokonując ponad 5000 kilometrów w ciągu czterech lat. W Australii Południowej nigdy nie był, ale został upamiętniony nazwami geograficznymi: Strzelecki Track, Strzelecki Desert i Strzelecki Creek.

02.10. piastowałam rolę honorowego gościa z tytułu zainicjowania gabinetu P.E. Strzeleckiego we dworze-muzeum w Koszutach, niegdyś posiadłości dziadka podróżnika, Józefa Oksza-Strzeleckiego. Po przemówieniach - moje dotyczące kultury Aborygenów i współczesnego stosunku P.E. Strzeleckiego do ich traktowania przez Anglików, obejrzelśmy video z koncertem na didgeridoo oraz prezentacją medialną P.E. Strzelecki opracowaną na obchody jego roku przez Zdzisława Leliwę, menadżera strony internetowej mt-kościuszko.org.au oraz przedstawiciela organizacji Mt.Kościuszko.Inc z Perth.



Wzruszyło mnie podziękowanie od władz muzeum za mój wkład w utworzenie jedynej na świecie stałej ekspozycji życia i osiągnięć P.E. Strzeleckiego, za co zostałam uhonorowana Statuetką P.E. Strzeleckiego wręczoną przez fundatora dyr. Envirotech Janusza Tomaszewicza, poznańskiego filantropa i biznesmena.



04.10.23 byłam gościem poznańskiego oddziału WOS Wspólnota Polska. Uroczystość otworzyli Dyr. Domu Polonii Dariusz Łukaszewski i prezes WOSWP dr I. Wyszowska, staraniem



Lesia Lishchenko i Zhanna Rudyja

której miejsce spotkał Polak z całego świata nosi imię P.E. Strzeleckiego.

Koncert pieśni Chopina uświetniły Lesia Lishchenko z Ukrainy - fortepian i Zhanna Rudyja z Białorusi - śpiew.



Film „Podróżnik z Głuszyny” Ewy Jagielskiej z Koła Przewodników PTTK im M. Mottego w Poznaniu zakończył część artystyczną, po czym dyr. Envirotech J. Tomaszewicz, entuzjasta P.E. Strzeleckiego, uhonorował dr I. Wyszowską statuetką przedstawiającą Podróżnika z mapą w ręku.

Odsłonięcie tablicy pamiątkowej Domu Polonii im. Pawła Edmunda Strzeleckiego uczciliśmy lampką wina Paweł Edmund Strzelecki Cascina Merenda 2021 fundacji Envirotech z Poznania.



Po zakończeniu prac budowlanych na Starym Rynku w Poznaniu tablica ta zawieszona na zewnątrz budynku pod numerem 51.

05.10. byłam uczestnikiem sesji naukowej Paweł Edmund Strzelecki w PTPN. Otwarcia sesji dokonała dr I. Wyszowska, po czym zebrani obejrzeni prezentację medialną autorstwa Z. Leliwy. Profesorzy uniwersytetów, doktoranci, pisarze, publicyści, pracownicy muzeów i ja dostarczyliśmy referaty do publikacji w magazynie naukowym PTPN oraz ogłosiliśmy ich streszczenia. Temat mojego referatu to P.E. Strzelecki - dorobek naukowy bez granic czasu, w oparciu o dzieło „Physical Description of NSW and Van Diemen's Land”, London 1845.

Sesja naukowa trwała od godz. 8 do 18 z przerwą na wspaniały lunch popijany czerwonym i białym winem Paweł Edmund Strzelecki Cascina Merenda 2021.

Cdn.



Riho Okagami-Siedlecka

Andrzej Siedlecki



Jak Toruń został polskim miastem... tajemnica ruin Część. III

Oto korpus najemników chroniący zamek w Malborku, stolicy Państwa Krzyżackiego, z powodu niezapłaconego żołdu... sprzedał zamek Kazimierzowi... i Wielki Mistrz, jak niepyszny, zmuszony był zamek oddać.

W wojnach toczących się w połowie XV w. zwyciężał ten, kto miał więcej pieniędzy, by najemników opłacić. Zwycięstwo i porażka zależały więc też od zasobów finansowych, które i dzisiaj decydują o wyniku wojny.



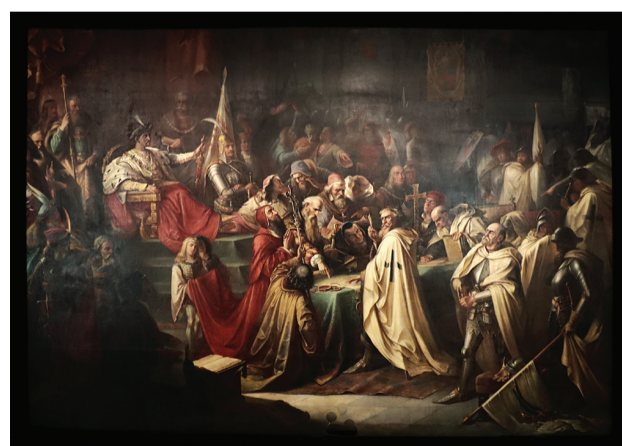
Riho przed zamkiem w Malborku

Związek doskonale o tym wiedział i zbierał fundusze wojenne dla króla Kazimierza. Dziadek Kopernika, senior Łukasz Watzenrode, też poparł króla finansowo, a on sam, wraz ze swoimi żołnierzami, brał nawet udział w bitwie przeciw Krzyżakom.

Król Kazimierz, potrzebując więcej funduszy na walkę z Krzyżakami, nakazał szlachcie płacenie dodatkowych podatków, nadając jej nowe przywileje. Gdańskowi również przyznał ogromne uprawnienia handlowe, a miasto zapewniło zwiększone fundusze, dzięki którym król zatrudnił dużą liczbę najemników.

Do walk z Krzyżakami chętnie przyłączali się także mieszczanie, a kupcy z Gdańska i Elbląga zorganizowali flotę i toczyli bitwy morskie z flotą krzyżacką na Żalewie Wiślanym, odnosząc spektakularne zwycięstwa.

Krzyżacy przegrywali i miasta przez nich zajęte także padały jedno po drugim, a we wrześniu 1466 roku poddało się ostatnie miasto krzyżackie - Chojnice.



Podpisanie II Traktatu Toruńskiego 1466, mal. Marian Jaroczyński Wikipedia

W toruńskim Ratuszu Staromiejskim podziwialiśmy duży obraz przedstawiający podpisanie II Traktatu Toruńskiego ustanawiającego warunki pokojowe wojny 13-letniej.

Na tronie, na podwyższeniu po lewej stronie, znajduje się Kazimierz IV Jagiellończyk, a w centrum stoi z piórem, brodaty, ubrany w biały płaszcz z czarnym krzyżem Ludwigo von Erlichshausen, Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego. Oczywiście nie wygląda na zadowolonego.

Nic innego, bowiem Krzyżacy zostali wypędzeni do Prus Wschodnich, a ich państwo stało się państwem wasalnym Polski. Stolicą Państwa Krzyżackiego został Królewiec.



W centrum Dwór Artusa w Toruniu - tu podpisano II Traktat Toruński

Na mocy tego Traktatu zachodnia część Państwa Krzyżackiego, w tym Gdańsk, Toruń, Elbląg i Malbork (Prusy Królewskie) oraz przyległe do nich Biskupie Księstwo Warmińskie, stały się częścią Królestwa Polskiego. Natomiast wschodnia część Prus została, niestety, w rękach Krzyżaków, którzy i w przyszłości nie pozbedą się agresji wobec sąsiadów.

Siedem lat później w Toruniu, gdzie trwał pokój i dobrobyt, i nadal jeszcze były żywe emocje związane ze zwycięstwem w wojnie trzynastoletniej, przyszedł na świat w 1473 roku Mikołaj Kopernik. Urodził się już w polskim mieście jako

poddany Polskiego Królestwa.



Mikołaj Kopernik, 1473-1543, człowiek Renesansu, astronom, matematyk, doktor

Wydawało się, że zagrożenie ze strony Krzyżaków zniknęło na zawsze. Ale germański duch militarny ciągle był nienasycony i żądny sąsiedzkich terytoriów. Gdy Kopernik osiągnął pełnoletność, Krzyżacy po raz kolejny podjęli próbę najazdu na terytorium Polski, sprawiając kanonikowi Kopernikowi, zarządzającemu dobrami warmińskiej kapituły katedralnej w Olsztynie, niemałe kłopoty.

A nieodbudowanie rozebranego i zniszczonego przez niemieckich rebeliantów krzyżackiego zamku w Toruniu, pozostawienie do dnia dzisiejszego jego muru i fundamentów, o których była mowa - jest symbolem zwycięstwa woli mieszkańców nad opresją i agresorem. W tym wypadku symbolem zwycięstwa Niemców, którzy wybrali nieopresyjne Królestwo Polskie, stając się jego poddanymi. A zamek zburzyli, żeby NIGDY już Krzyżacy do polskiego miasta nie wrócili!

Zdjęcia autorów, Wikipedia
Zobacz: www.andrzejsiedlecki.pl

Jak przez wieki polska emigracja swój kraj ocalała

Cd. ze str. 11

kraj – emigracja. Kraj – to obszar Polski, która nie jest suwerenna, a zatem nie może rozwijać swobodnie swojej kultury i swojej politycznej debaty. Emigracja zastępuje w tych funkcjach kraj. Oczywiście chodzi o emigrację polityczną, a nie masową emigrację zarobkową, która stanie się ważnym zjawiskiem społecznym dopiero w końcu XIX wieku. Emigracja po 1831 roku objęła nieco ponad 10 tysięcy osób. Najwięcej z nich, bo około 6 tysięcy, osiadł we Francji. W Wielkiej Brytanii zamieszkało około 700, kilkuset także w Belgii. Mniejsze grupy – w Grecji, Turcji, krajach włoskich, niemieckich, a także w Hiszpanii i w kolonizowanej przez Francję Algierii. Do Stanów Zjednoczonych, przy wsparciu Komitetu Amerykańsko-Polskiego, pod przewodnictwem Jamesa F. Coopera (autora Ostatniego Mohikanina), dotarło początkowo zaledwie kilkudziesięciu powstańców. Ważniejsza od liczby była swoista jakość tej emigracji. Tworzyli ją w znacznej części oficerowie, wywodzący się ze szlachty i z inteligencji ochotnicy powstańczej armii, uczestnicy politycznego życia Królestwa Polskiego. To byli niemal wyłącznie mężczyźni. Większość z nich pozostała kawalerami. Na emigrację poszła grupa około 200 Polek; małżeństwa mieszały, z Francuzkami, były rzadkie. Wielu polskich wychodźców nie szukało bowiem stabilizacji na obczyźnie, ale żyło myślą, obsesją nawet, powrotu do kraju: powrotu z bronią w ręku, do wyzwolonej Polski.

O ile można mówić o silnej mobilizacji patriotycznej dużej części polskich elit społecznych, na pewno w czasie powstania listopadowego, to emigracja po powstaniu cechowała się tą mobilizacją w stopniu wręcz gorączkowym. Miała także szczególne możliwości intelektualne, by tę gorączkę utrwalić, rozpowszechnić, stworzyć z niej instytucję i swoistą kulturę polityczną. To była bowiem emigracja ludzi nie tylko piśmiennych, niemal w 100 procentach, ale w bardzo znacznej części także ludzi wykształconych – na uniwersytetach Warszawskim, Wileńskim, w Liceum Krzemienieckim. We Francji spośród 6000 emigrantów studia wyższe podjęło już na jej terenie (najczęściej – lekarskie i inżynierskie) 1117 osób. Dalsze wykształcenie – zakładano – przyda się w odrodzonej Rzeczypospolitej. W takiej społeczności możliwe stało się wydawanie blisko 100 różnych czasopism (do roku 1848) i ponad 1700 tytułów książek i broszur politycznych, w czym pomagał fakt, że blisko 200 emigrantów podjęło pracę jako drukarze, litografowie i introligatorzy. Własnego uniwersytetu na wychodźstwie Polacy jeszcze nie byli w stanie stworzyć, ale powołali kilka innych, trwałych instytucji kultury, edukacji i nauki. Wymienić można tu m.in. Towarzystwo Literackie, założone w Paryżu w 1832 roku (miało w swojej strukturze Dział Nauk oraz Wydział Statystyczny; od 1854 roku nosiło nazwę Towarzystwa Historyczno-Literackiego), od 1838 roku działające do dziś w sercu Paryża, na Wyspie św. Ludwika, Biblioteka Polska; od 1842 istniała także przez ponad 100 lat polska szkoła średnia w Paryżu.

Było jednak coś jeszcze, co wymyka się statystycznym wyliczeniom: skupienie w kręgu tej emigracji największych talentów, a w odniesieniu do kilku osób można powiedzieć, największych geniuszy w historii polskiej kultury. To byli Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński – trzej poeci, któ-

rzy zostali uznani w tej historii za trójkę „narodowych wieszczów”. Do nich dojdzie nieco później „czwarty wieszcz” – Cyprian Kamil Norwid. Towarzyszył im w muzyce Fryderyk Chopin. Obok nich jeszcze inni utalentowani poeci, publicyści, historycy – współtwórcy i popularyzatorzy nowych symboli i mitów w narodowej wyobraźni. Oni, przede wszystkim Chopin, stworzą niewątpliwie najdoskonalszy instrument „soft power” sprawy polskiej niepodległości, zwłaszcza w czasie, kiedy żadną „hard power” Polska, pozbawiona państwa, nie dysponowała.

Warto jednak przypomnieć, że taką rolę, oczywiście w mniejszej skali, odgrywały również sukcesy innych polskich emigrantów. Dać można ich trzy przykłady: Ignacego Domeyki, Pawła Edmunda Strzeleckiego i Antoniego Norberta Patka. Można je potraktować jako świadectwa swoistej „globalizacji” polskości, której emigracja sprzyjała. Domeyko (1802–1889), jeden z przyjaciół Mickiewicza z uniwersytetu w Wilnie, gdzie studiował rachunek różniczkowy, na emigracji zdecydował się podjąć nowe studia, w Szkole Górniczej (École de Mines) w Paryżu. Wykorzystał zdobytą wiedzę, ruszając aż do Chile. Zorganizował tam podstawy nowoczesnej mineralogii i przemysłu górniczego, a także zreformował stołeczny uniwersytet w Santiago, przez 16 lat pełniąc funkcję jego rektora. Obok emigranta kolejnej generacji, Ernesta Malinowskiego (1818–1899 – wyemigrował po powstaniu listopadowym jako chłopiec jeszcze, wraz z ojcem), budowniczego kolei transandyjskiej w Peru i Ekwadorze, stał się Domeyko znakiem rozpoznawczym dla Polaków w Ameryce Łacińskiej, tak jak wcześniej takimi znakami stali się dla Polaków w Ameryce Północnej Kościuszko i Pułaski. Tym znakiem rozpoznawczym była już jednak nie szabla, ale dyplom uniwersytecki i osiągnięcia inżynierskie.

Podobną rolę odegrał Paweł Edmund Strzelecki (1797–1873) dla Australii. Strzelecki, pochodzący z Poznania, wyjechał z kraju jeszcze przed 1830 rokiem z powodu nieszczęśliwej miłości, a także swej wielkiej pasji podróżniczej. Po objęciu Kanady, Stanów Zjednoczonych, Meksyku, Ameryki Południowej, Hawajów i Tahiti dotarł w 1839 roku do Nowej Zelandii i Australii. W Australii badał złoża minerałów w rejonie Gippsland (odkrył tam m.in. złoża złota), a w 1840 roku zbadał i zmierzył najwyższy szczyt kontynentu w Alpach Australijskich: nazwał go Mount Kosciuszko (2228 m n.p.m.). Choć nie był w ścisłym tego słowa znaczeniu politycznym emigrantem, chętnie wspierał finansowo działalność Literackiego Towarzystwa Przyjaciół Polski w Wielkiej Brytanii.

Antoni Norbert Patek (1812–1877) zdążył jako 18-latek zdobyć za służbę w kawalerii powstania listopadowego Złoty Krzyż Orderu Virtuti Militari. Na emigracji osiadł w Szwajcarii. W Genewie założył po latach praktyki własną wytwórnię zegarków, w których stosowano najnowocześniejszy wynalazek: naciąg główkowy. W 1845 roku, w spółce z francuskim wynalazcą Adrianem Philippem, stworzył nową firmę zegarmistrzowską, która wprowadziła na rynek zegarki z osobnym sekundnikiem. Firma Patek Philippe zdobyła renomę jeszcze za jego życia, produkując jedne z pierwszych na świecie zegarków na rękę. Dziś jest najbardziej ekskluzywną marką zegarków na świecie.

Czy z tych karier coś dla Polski wynikało? Wynika? Tysiące emigrantów nie zrobiło oczywiście żadnej kariery. Większość żyła w codziennym niedostatku, z niewielkich, wypłacanych do 1856 roku zasiłków rządowych (we Francji) i dorywczych prac. Głównym urozmaicheniem była polityczna ak-

tywność. Emigracja stała się przez tę aktywność laboratorium form organizacyjnych nowoczesnego życia politycznego. A jednak podane tu przykłady działania, które wykracza poza zaangażowanie w „potępięcze swary”, czyli życie polityczne, ale nie jest formą odstępstwa od Polski, tylko służbą jej kulturze, jej dobremu imieniu, dumie z tego imienia – poprzez indywidualne osiągnięcia naukowe, techniczne, artystyczne – zasługują na przypomnienie. Nie kończą się oczywiście na czasach Wielkiej Emigracji, ale znajdują kolejne potwierdzenie – od Marii Skłodowskiej po Tadeusza Sendzimira i Zbigniewa Brzezińskiego. Polska jest na mapie. Ale dobrze, że mamy te wzory.

prof. Andrzej NOWAK

Historyk, sowietolog, członek Narodowej Rady Rozwoju. Wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Profesor zwyczajny w Instytucie Historii PAN. Laureat Nagrody im. Lecha Kaczyńskiego, Kawaler Orderu Orła Białego.

Listy do redakcji



Szanowna Redakcjo,
Słowo „Polska” zostało dawno temu błędnie przetłumaczone na język angielski jako „Poland”. Słowo to w języku angielskim powinno brzmieć „Polland” czyli powinno zawierać podwójną literę „l”. Oczywiście nie jest to dzisiaj sprawą najważniejszą dla Polski, ale myślę, że czas na jej uregulowanie jest zawsze.

Wbrew pozorom sprawa zmiany pisowni nazwy państwa w języku angielskim nie jest niemożliwa, ponieważ różne kraje zmieniły swoją nazwę, nawet nie tak dawno. Na przykład Turkiye - w 2021 roku Turcja zmieniła spelling poprzez UN z nazwy Turkey na Turkiye, Burma została zmieniona na Myanmar. W angielskim świecie używa się już tylko te nazwy - Turkiye i Myanmar.

Poniżej wyjaśniam dlaczego słowo „Poland” jest błędne.

POLAND

Słowo to po angielsku powinno brzmieć „Polland” jako zbitka dwóch członów: „pol” i „land”. Podobnie utworzone zostały m.in. następujące nazwy krajów:

Holland - Hol + land - ziemia Holendrów (dwie litry „l”)

Ireland - Ire + land Eire + ziemia (Eire to po irlandzku nazwa kraju)

Switzerland - Switzer + land - ziemia Szwajcarów

Scotland - Scot + land - ziemia Szkotów

Finland - Fin + land - ziemia Finów

A więc Polland - pol + land - ziemia Polan, Polaków

Słowo „land” oznacza ziemię, krainę. Słowo Poland utworzone ze zbitki „po” na początku nic nie oznacza. Oznacza tylko ziemię JAKIEGOŚ „po”. To nie jest ziemia jakiegos „po”. To jest ziemia Polan, Polaków. A zatem pisownia słowa „Polska” w języku angielskim powinna być zmieniona z Poland na Polland.

Bardzo proszę Czytelników Tygodnika Polskiego o rozgłaszanie tego tematu.

Lidia Waluk-Legun



TROPEM WILCZYM

BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLETYCH
STOWARZYSZENIE

NASZA Zaprasza:

Niedziela 14 kwietnia Ośrodek Jana Pawła II w Narrabundah

Msza św. w intencji Żołnierzy Niezłomnych godz. 10.00

Start biegu: godz. 11.30 dystans 1963m

Zapisy i informacje:

Stefan Gajewski mob. 0405 813 685 nasza_polonia@yahoo.com.au

NAJWIĘKSZY BIEG PAMIĘCI W POLSCE

NAJWIĘKSZY BIEG PAMIĘCI W AUSTRALII

XII EDYCJA 2024 X EDYCJA 2024

ORGANIZATOR: WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA
ORGANIZATOR W AUSTRALII: STOWARZYSZENIE NASZA
SPONSOR: INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
PARTNERZY MEDIALNI: Radio Polonium, Polskie Radio, TVP
PARTNERZY LOKALNI: SPK, Polish School

www.kultur-pol-au.info

Dr Wojciech Kiełczyński

MD, PhD, NIMH (UK)
Specjalista Profilaktyki i leczenia ziołami
Telefon (03) 9885 5252
6 Huon Grove, Ashburton 3147
 Leczy: astmę i alergie, artretyzm i choroby kręgosłupa, depresje, nerwice i bezsenność, otyłość i zaburzenia trawienia, choroby krążenia i nadciśnienie, choroby wątroby, choroby nerek i prostaty, choroby kobiece (np. endometriozę), choroby przewlekłe oraz wszelkie inne dolegliwości u dorosłych i dzieci.
 Konieczne telefoniczne umawianie wizyt

KANCELARIA ADWOKACKA PIETRZAK SOLICITORS

RYSZARD PIETRZAK
832 HIGH STREET, Kew East, Vic. 3102
TEL. (03) 9249 9617
 UDZIELAM POMOCY we wszystkich rodzajach prawa, włączając kupno i sprzedaż domów, ziemi i interesów (*businesses*), testamenty (*wills*) i sprawy sądowe dotyczące testamentów, pełnomocnictwa (*Powers of Attorney*), transakcje handlowe, dzierżawy itd. **MÓWIĘ PO POLSKU**

KALENDARZYK IMPREZ POLONIJNYCH

Federacja Polskich Organizacji w Wiktorii.
Zgłoszenia: Polskie Biuro Usług Społecznych
Tel: (03) 9569 4020 Fax: (03) 9569 4780

1 kwietnia, poniedziałek, godz. 14.00 – 18.00 Klub Seniora zaprasza do wspólnej zabawy. Dom Polski „Syrrena” - 1325 Stud Rd, Rowville. Więcej informacji: Krysia Bargłowska mob. 0448312991.

MAZUR

CARGO SERVICES

Paczki do Polski i Europy Wschodniej

Sunshine (03) 9363 5132 Dandenong 0422 110 493
 Geelong (03) 5277 0458
 Adelaide (08) 8258 1331
 Sydney 0418 977 147

NAJKRÓTSZE TERMINY • NAJNIŻSZE CENY
www.mazurcargo.com.au

ADRESY ORGANIZACJI

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej w Canberze
 7 Turrana Street, Yarralumla ACT 2600
 Tel: (02) 6272 1000
 E-mail: canberra.amb.sekretariat@msz.gov.pl

Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Sydney
 10 Trelawney Street, Woollahra NSW 2025
 (02) 9363 9816, (02) 9363 9817, (02) 9363 9818
 e-mail: sydney.kg.sekretariat@msz.gov.pl

Rada Naczelna Polonii Australijskiej
 42 The Village Avenue, Coopers Plains QLD 4108
 Email: secretary@polishcouncil.org.au
 Tel. +61 402 210 712

Federacja Polskich Organizacji w Nowej Południowej Walii
 Polish House, 182 Liverpool Rd, Ashfield NSW 2131
 secretary@polishfederationnsw.com.au

Federacja Polskich Organizacji w Południowej Australii
 230 Angas Street, Adelaide SA 5000
 tel: 08 8232 1464, email: reception@polishfederation.org.au

Federacja Polskich Organizacji w Wiktorii
 8/14 Lionel Street, Mt Waverly VIC 3166
 Tel. 03 9629 8277

Polonia WA Inc
 PO Box 791, Claremont, WA 6910, tel. 0 438 927 503
 e-mail: poloniawa@gmail.com

Stowarzyszenie Polaków w Queensland Polonia
 10 Marie Street, 4064 Milton QLD
 tel. 07 3369 2747, e-mail: president@polonia.org.au

OGŁOSZENIE

Uprzejmie informujemy, że w niedzielę **14 kwietnia b.r.** w Sanktuarium Maryjnym w Essendon zostanie odprawiona Msza św. w intencji pomordowanych w Katyniu i innych miejscach kaźni na terenie Związku Sowieckiego podczas drugiej wojny światowej oraz zmarłych na zsyłce na nieludzkiej ziemi.

Po Mszy św. zbierzemy się przy Krzyżu Katyńskim dla uczczenia pamięci ofiar.

Stowarzyszenie Rodzin Katyńskich

Polskie audycje radiowe:

Melbourne 3ZZZ 92.3 FM:
 wtorek 11-12, środa 22-23, sobota 19-20
Adelaide 5EBI 103.1 FM
 pon. 17-18, czw. 16-17, sob. 8-9

Radio 3ZZZ Melbourne

E: polishradio3zzz@hotmail.com
 Ogłoszenia i komunikaty:
 E: rsuwara@yahoo.com.au
 T: 0425 705 996

Plan dyżurów paszportowych na I półrocze 2024 r.

Melbourne
 II połowa lipca (zapisy zostaną otwarte 1 czerwca – szczegółowa informacja zostanie umieszczona na stronie konsulatu)



K.N.D. Denture Clinic

192 Main Road East
 St Albans 3021
Tel: 03 9364 3677 Fax: 03 8307 3286

Pełne/częściowe protezy, częściowe protezy metalowe, protezy na implantach, wyściółki do protez zębowych, naprawa protez sportowych i ochraniaczy na zęby.
 Mówimy po polsku.

„Być Polakiem na Antypodach”

Analiza demograficzna polskiej społeczności w Australii przedstawia kilka interesujących statystyk: Prawie 250 tysięcy Australijczyków ma polskie pochodzenie. W spisie ludności z 2021 roku, w Australii było 45 884 osób urodzonych w Polsce. Mimo tych statystyk, szacuje się, że tylko 11 000 osób bezpośrednio zaangażowanych jest w polskie organizacje społeczne i ich działalność w całej Australii. Prezydium Rady Naczelnej Polonii Australijskiej rozpoczyna bezpłatne konsultacje / warsztaty online dla osób polskiego pochodzenia, niezależnie od ich obecnego zaangażowania w polską społeczność, aby zbadać koncepcję naszego przyszłego kulturowego celu i znaczenia w australijsko-polskim środowisku. Warsztaty będą prowadzone w języku angielskim, ale z tłumaczeniem na język polski w miarę potrzeb.



**POLISH COMMUNITY
COUNCIL OF AUSTRALIA**



BEING POLISH DOWNUNDER

COMMUNITY WORKSHOP

How do you envision the Polish community in Australia to look like in 20+ years? Will it be a shrinking or thriving community?

- We're seeking input from 18-50+ year olds with Polish heritage about their lived experiences
- Open to anyone regardless of current involvement with the Polish community
- Help us identify community projects that generate involvement & engagement
- Let's build a positive cultural identity for Polish-Australians in the future

Facilitated by Gigi Lacey, who has over 30 years experience working in the community/non-profit sector.

Join us online
OPTION 1: APRIL 17
OPTION 2: APRIL 18
6:30-8:30PM AEST
FREE EVENT

Register for either
Option 1:
events.humanitix.com/being-polish-down-under-1
 OR
Option 2:
events.humanitix.com/being-polish-down-under-2

Contact Henry 0402 210 712 for more info.

Tabela Kursów Średnich NBP z dnia 22-03-2024

dolar amerykański	1 USD	3,9928
dolar australijski	1 AUD	2,6007
dolar kanadyjski	1 CAD	2,9415
dolar nowozelandzki	1 NZD	2,3980
euro	1 EUR	4,3186
frank szwajcarski	1 CHF	4,4337
funt szterling	1 GBP	5,0257
hrywna (Ukraina)	1 UAH	0,1028

Profesjonalne Strony Internetowe

Allwell International

BestWebDesignMelbourne.com.au

- * żywa osoba (nie maszyna) odbiera telefon (03) 9700 0422
- * mówimy po polsku
- * serwisy internetowe, optymalizacja, appy
- * doradztwo i szkolenia
- * niskie ceny i zniżki dla rodaków.

Załatwianie spraw w biurze Tygodnika - poniedziałki i piątki w godz. od 10.00 do 13.00

Redakcja przypomina zainteresowanym, że ostateczny termin nadsyłania materiałów emailiem do następnego numeru Tygodnika Polskiego upływa w czwartek 6 kwietnia o godz. 18.00. polishweek@optusnet.com.au

„Ziemia to twój okręt, nie siedziba” – głosił św. Augustyn. Co znaczy, że życie ludzkie jest raczej nieustającym rejsem w kierunku portu przeznaczenia, ale w żadnym razie nie portem macierzystym. Do czego dodam, iż niewiele znakomitszych okrętów nad Lwią Wyspę :-). Zapraszam.

GADKA-SZMATKA, KURZU TUMAN

Ponoć jedynie cieplejsze zimy uchroniły Stary Kontynent przed doświadczeniem serii energetycznych blackoutów.

Sam nie wiem, wyczuwając w powyższym stwierdzeniu jeden błąd co najmniej. „Europa stosunkowo szybko i sprawnie poradziła sobie z zapewnieniem alternatywnych źródeł dostaw, OZE dostały prorozwojowy impuls, chwilowo – miejmy nadzieję – «dopaliliśmy» się węglem” – przekonuje Mariusz Janik (rp.pl), przy czym nie wskazuje pan redaktor drugiej strony medalu: wszak cieplejsze lata mogą dopieć nam nie mniej niż bezmroźne zimy, doświadczając nas równie dotkliwie. Albowiem, o ile mi wiadomo, energii wymaga też klimatyzacja. Odwołam się w tym miejscu do osobistych doświadczeń i bez ogródek przyznam: na przestrzeni ostatnich paru lat bez klimatyzatora rozpuściłbym się razy kilkanaście. Ktoś wie, jak ciężko usunąć tłuszcz z paneli podłogowych? Sto kilo tłuszczu, powiedzmy? Czy tam sto dziesięć? Kto by to po mnie posprzątał? A tak: pstryk i celsjuszów mam ile zechcę. I jak długo potrzebuję. Ergo, letni blackout zmartwiłby mnie, podejrzewam, znacznie bardziej niż zimowy.

Relacja.

Klasa druga. Szkoła podstawowa. Zajęcia poświęcone propedeutyce biologii restrykcyjnej (temat przybliży przy innej okazji).

– Słuchamy! Halo, klasa, proszę o spokój, Jasiu, wyprostuj się. Słuchamy: „Być może nie ma jednej pamięci narodowej, a jest ich wiele. Albo raczej to mozaika złożona z mniejszych, regionalnych. Istotą jest pozwolenie na to, by istniały obok siebie”. To powiedziała pani Estera Flieger. Proszę, kto z was powie mi, co musiała wtedy mieć w głowie? Marysiu?

– Siano! – odpowiada rezolutnie dziewczynka.

– Ktoś jeszcze?

– Kisiel... Nic nie miała... Rozgotowany makaron... Żaden makaron, coś ty, to marchewka była lub buraki! Sam jesteś głupi burak! – dzieci przekrzykują się, odpowiadając chórem. – Nic nie miała?

– A jak ty sądzisz? – pani zwraca się do Jasia.

– Ja nie sądzę, ja wiem. Rozważaniu sensu nicości brakuje racjonalnych podstaw. Nicość to nicość. Pustka. Nu-uuda. Naprawdę nie ma o czym gadać.

Modusy operandusy.

Gdy jednym słowem opisywałem kondycję wspólnoty polskiej w dowolnym obszarze jej egzystencji, najlepszym wskazaniem wydawał mi się dotąd termin „degradacja”. Co wyimplicowało z siebie parę zasadnych pytań. Przykładowo: kto w tak dramatycznym stop-

niu zaburzył świadomość Polek i Polaków? Gdzie podziała się pamięć o nas, o polskości? A co z konsekwencjami dla tożsamości indywidualnej i tożsamości wspólnoty? Wreszcie, czy istnieją sposoby na przywrócenie nas nam samym? Ożywienie nadziei na odtworzenie niezakłamanego polskości w realnej perspektywie czasowej?

Teraz zmieniam zdanie. Czy raczej: dopowiadam, co konieczne. Degradacja albowiem nie ogarnęła nas bez przyczyny. Ów proces posiada charakterystyczną dla siebie metodykę. Własny „modus operandi”, rzecz można. Proszę zauważyć: przyjąwszy powyższy punkt widzenia, spora część obrazu współczesnej Polski staje się naraz przejrzysta. To zrozumienie aż boli. W trakcie dyskusji pod jednym z grudniowych wpisów na blogu Gabriela Maciejewskiego (coryllus.pl/czym-akademia-francuska-roznie-sie-od-polskiej-agencji-wywiadu/) internauta Jimmy napisał: „(...) wszystko jest skutkiem formacji społeczeństwa, powolnych młynskich kół, łamiących kręgosłupy, zmieniających spojrzenie na świat. Czy dzisiaj patrząc na wyczyny Czarastego czy towarzyszy Cimoszewicza, Millera, Belki i innych, ludzie widzą ich tak, jak powinni? To dlatego Polskę można sprzedać, zeliżyć, obrzucić szambem całkowicie bezkarnie, że odwrócono i zakłamano pojęcia i wartości”.

Nic się nie stało?

Owszem, stało się, skoro nawet krajobrazy poznawcze nam zawłaszczyli, przy okazji kradnąc dusze w tych krajobrazach odcisnięte, a my na to co? „Oj tam, oj tam. Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało”. Nie więcej w każdym razie niż powyższe, my na to odpowiadamy. Tymczasem stało się najgorsze, najgorsze z tego złego, co w ogóle Polskę spotkać mogło. Powtórzę: dziś nie rozpoznajemy intencji, a nawet twarzy naszych wrogów, nieustannie myśląc się w tym i potykając o celowe zafałszowania, zaś tak zwana większość nie widzi powodów do protestu, bo wraz z zakłamaniami i odebraniem nam właściwej perspektywy poznawczej, odebrano nam także wolę działania. Podczas gdy rozmaite upiory, czytaj: ludzie skażeni piętnem najgorszego dziedzictwa dnia wczorajszego kształtują codzienność wspólnoty polskiej, zarazem rozstrzygając o naszej przyszłości.

Niepodległość? Patrz tytuł: „Gadka-szmatka, kurzu tuman”. Dopóki pozwalamy na brylowanie w przestrzeni wspólnej personom zakłamujących pojęcie polskości, dopóki nie usuwamy z rzeczywistości publicznej symboli dławienia Polski, dopóty samych siebie Polakami prawa nazywać nie mamy. Cemuż mielibyśmy je mieć? Nie miejsce urodzenia polskość definiuje. Polskość to wyzwanie. Niebagatelne.

Nadprzesada.

- Kim chciałybyś być, Zajonc?

- Sobą.

- No to niespecjalnie ci poszło.

- Ha, ha. A ty Heniu, chciałybyś być...?

- Panelem fotowoltaicznym.

- Zechcesz myśl rozwinąć? Liściaste panele fotowoltaiczne zdaje się nie istnieją.

- Nieważne istnieją czy nie, dobrze takim panelu. Panelowi. Cały dzień ogląda bezchmurne niebo albo liczy chmury na zachmurzonym. I pije. Po zmroku trzeźwieje do spółki z księżycem i gwiazdami, a potem sprzecza się o imponderabilia z samym Stwórcą.

- Zostawmy Boga z Jego imponderabiliami. Zostawmy na boku noc gwiazdzistą i dzienne chmury. Ale co może pić panel fotowol... – i tu zrozumiałem.

- Fotony, tak?

Heniek uśmiechnął się ponuro. Wolałby piwo, to jasne. Ale panel fotowoltaiczny zasilany piwem? To byłaby aż nadto wyrażna nadprzesada.

Reminiscencje.

Michalik „Od Sakiewicza do Sekielskiego” Eliza, czy jak tę panią określają inni: „Eliza od Michnika” wzięła sobie usiadła i zapostulowała likwidację dnia 11 listopada. Nam zapostulowała. A to, ponieważ święto niepodległości jej akurat „(...) kojarzy się wyłącznie faszystowsko-przemocowo i z płonącą Warszawą”.

Eliza Michalik znana jest z kopiowania cudzych tekstów i podpisywania ich jako swoich. W 2003 r. w tekście «Eksmisja to dobry interes» wykorzystwała obszernie fragmenty tekstów Hanny Harsimowicz-Grodeckiej. Cała sprawa zakończyła się publicznymi przeprosinami, sprostowaniem i wyrzuceniem jej z tygodnika „Gazeta Polska” gdzie pisała. Ten moment był przełomowy w jej dziennikarskim życiu. Niczym chorażewka na wietrze z prawicowej publicystki stała się lewakiem pełną gębą. Stała się wzorem dla feministek i nowego antyklerykalnego środowiska – i tyle „Najwyższy czas!”. Zaprawdę powiadam nam, powiem od siebie, menopauza to straszna rzecz. W każdym razie prywatna menopauza tej niewiasty nie tylko degeneruje ją intelektualnie, ale i postarza nader brzydtko. Nie twierdzą, że tak jest, ale że jest tak właśnie, tak mi się zdaje.

W tym samym kontekście: wytykają mi różni tacy-owacy, że wskazaną inwektywą jakoby „szafuję”. Menopauzą znaczy. Niezwykle, przyznam, owe zarzuty mnie zawstydziły. Niezwykle. Normalnie mną wstrząsnęły. Kogo by nie zawstydziły? Kim nie wstrząsnęłyby? Natychmiast jałem rozglądać się za przyczynami tak kompromitującej mnie przesyady. Trzy dni rozglądałem się bezradnie, czwartego znalazłem. W szafie, bo gdzieżby? Że też szafa prędzej nie zapukała mi do głowy. Proszę to sobie tylko wyobrazić: zawinięta w zakurzone wydanie „Wyborczej” z czerwca 1993 roku, schowała się na samym dnie. Wyjąłem, wytrzepałem, obejrzałem rozłożoną. Ani chybi, andropauza. I to moja, nie jakaś tam znaleźna, czyjaś obca.

Cóż było robić? Wydłubałem z nosa odrobinę inteligencji, nożyczkami krawieckimi odciąłem ciut, ukulałem odcięty fragment w kulistość, kulkę przyczepiłem chytrze pod blatem (kiedy indziej opowiem w jakim celu i na co mi takie rzeczy), po czym rzuciłem się wypełniać kwestionariusz Morleya (ADAM, Androgen Deficiency in the Aging Male). To dziesięć pytań, pozwalających rozpoznać wstępnie u mężczyzn przekwitanie. I tutaj znienna trach: „Analiza uzyskanych odpowiedzi pozwala podejrzewać u pana zespół andropauzy”.

Zatkało mnie. Sparaliżowało. Gdy paraliż minął, wstałem od biurka, a zachwiał się ponownie znieruchomiłem, zatkały na maksa. Odczekałem chwilę, dzień czy trzy, nie pamiętam, a kiedy oszołomienia wstępne mi przeszły, położyłem się na tapczanie, kontemplując całą ich serię. I leżę tak do teraz. Bo oszołomienia nadchodzą i przechodzą. Falami. Końca nie widać. Sztorm to mało powiedziane. Krzysztofie, Krzysztofie! Elizo, Elizo!

Żucie kości.

Ciekawostka. W przestrzeni medialnej orbituje nagranie z posiedzenia Sejmu, na którym minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz wyjmuje z kieszeni coś, co wygląda jak torbka foliowa. Poseł Michał Woś (PiS) zapytał ministra publicznie, co znajdowało się wewnątrz. Odpowiedzi nie doczekał. „Nie mam panu nic do powiedzenia” – rzucił z kolei Sienkiewicz dziennikarzowi „Faktu”. Natomiast zapytany o tajemniczy woreczek, a konkretnie o to, co właściwie robił, przez „Telewizję Republika”, odwarknął: „Żułem kości swoich wrogów”. Głaskać Sienkiewicza po zakolach? Czyn ów okazać się mógłby znacznie ryzykowniejszy od pobytu w klatce z

lwem w celu ciągłości zwierzęcia zaogon. Żywego zwierzęcia. Mimo to, pociągnąłbym. To znaczy pogłaskałbym. Za tak ciętą ripostę? Się należałoby. Dopiero potem w mordę takiego lać.

Fundament.

Czy ktoś ode mnie mądrzejszy, odrobinę przynajmniej, niechby o długości wąsa, czy tam nosa, mógłby zaproponować światu skuteczną metodę ostatecznego rozwiązania kwestii niemieckiej? W sensie, że demontażu ich usiłowań, zdominowania Europy i zawładnięcia kontynentem? Czy też mądrzejsi ogarniają, co i mnie świta w najczarniejszych snach: że mianowicie dawno minęła pora na jakiegokolwiek próby wyrwania się spomiedzy niemieckich szcęk od stuleci przezuwających Stary Kontynent (i jak raz parsających ku nam Czwartą Rzeszą). Dziś, gdy szczęki te zwierają, zda się ostatecznie, nawet Churchill niczego nie zdołałby załatwić.

Co tu robi brytyjski premier z czasów II wojny, pyta ktoś? Przypomnę: pan Internet rozpowszechnia przekonanie, jakoby to Churchill zaproponował, by Republikę Federalną Niemiec równać z ziemią regularnie, co 50 lat lub częściej. Z powietrza równać. Czyli bombardować profilaktycznie i bez konieczności podawania przyczyny. Se non è vero, è ben trovato.

Inny wątek a propos III Rzeszy: ktoś pamięta rozważany w latach 1944-1947 tzw. „Plan Morgenthaua” zakładający trwałą zmianę III Rzeszy w pozbawiony przemysłu park krajoznawczy, konkretnie: „w kraj rolniczy i pasterski”? Plan sekretarza skarbu USA, Henry’ego Morgenthaua, popierali między innymi Albert Einstein oraz żona prezydenta, Eleonora Roosevelt. Niemniej sam prezydent zasłużył na kpiny – za jego plecami współpracownicy powtarzali, że: „Do zarządzania departamentem znalazł jedyne Żyda, który nie umie liczyć”. Kiedy po śmierci Roosevelta w kwietniu 1945 roku władzę przejął wiceprezydent Truman (jako 33. prezydent USA), los samego Morgenthaua i jego planu został przesądzony. Tym bardziej gdy wyszło w końcu na jaw, że Harry Dexter White, doradca i zastępca sekretarza skarbu, był agentem sowieckim.

...Czyż to nie dość intrygujący przyczynek do „Planu Marshalla”, wprowadzonego w grudniu 1947 roku?

Szydera miesiąca.

Gabriel Maciejewski: „Wkraczamy w fazę niebezpiecznego obłądzenia, czyli demonstracji nieskuteczności”. Prawda to prawdziwsza od prawdziwie najprawdziwszej prawdy. Dalej Maciejewski sztydzi: „Jeśli nic nie można zrobić, a najwyraźniej nie można, trzeba dokończyć serię bezskutecznych wygłupów, która podniesie ciśnienie narodowi”.

...Tak będzie. Patrzymy i uczymy się.

Czy należy godzić się z przemijaniem? A czym przemijanie jest? W potocznym rozumieniu to etykieta, oznaczająca tryb, w jakim osiągamy kres istnienia. Bez względu na kres. O, rodzimy się, żyjemy, przemijamy, umieramy, koniec. Jednocześnie, przemijanie odnosząc poprawnie, to jest po chrześcijańsku, więc do wieczności, musimy przyznać: stricte o przemijaniu mowy nie ma. Nie może być. A to, ponieważ Chrystus wstał z martwych, a i my z martwych wstaniemy. Bez tego przeświadczenia wiary naszej nie byłoby, a bez niej nie istnielibyśmy my sami. Tymczasem żyjemy i nawet po śmierci wciąż będziemy istnieć – przez co nie znajdziemy też lepszego powodu do odwiezienia Lwiej Wyspy w kwietniu. Na którą zapraszam nieodmiennie serdecznie.

Krzysztof Ligęza

Kontakt z autorem: widnokregi@op.pl

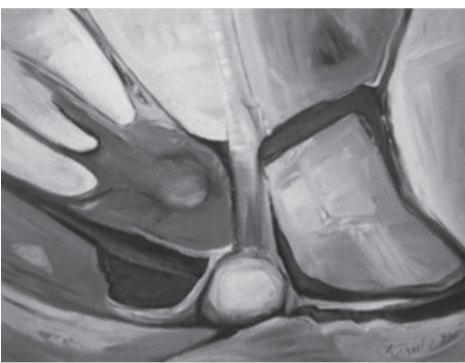
Drodzy Czytelnicy,

Witam bardzo serdecznie. W dzisiejszym wydaniu TP prezentuję trzecią – ostatnią część książki autorki, która opisała swoją wyprawę w Himalaje z grupą alpinistów, a następnie prezentowała swój dorobek literacki. W tym wydaniu przedstawiam też malarstwo, jakie zaprezentowała autorka na festiwalu Po!Art 2015. Ocenę pozostawiam Państwu. Życzę przyjemnej lektury. Pozostaję z szacunkiem.

Dr Elżbieta Koło



Ela Thulie



Tytuł obrazu: Otwarcie

Część III NEPAL-HIMALAJE

(...)

26.09 (niedziela). Dziś czeka nas ośmiogodzinny szlak, więc jak co dzień wyruszamy wcześniej. Dzień wróży dobrze, bo wita nas tak wyczekiwane słońce. Po drodze mijamy pojedyncze domy przypominające lepianki oraz szkołę powstałą dzięki fundacji Edmunda Hillarego, nowozelandzkiego himalaisty i polarnika. Jako pierwszy zdobył i przetrwał szlak na Mt Everest. W 1960 roku założył fundusz powierniczy wspierający Szerpów. Dzięki jego pomocy wybudowano w himalajskich wioskach 27 szkół, 2 szpitale, 12 ośrodków zdrowia, wodociągi, mosty a nawet małe lotniska. Został honorowym obywatelem Nepalu.

Widok na szkołę z jeszcze wyższego punktu jest imponujący. Wszystko widzimy jak na dłoni. To dwa niskie, długie baraki z niebieskimi dachami. Na dziedzińcu, w niebiesko-granatowych mundurkach ćwiczą dzieciaki. Trzeba przyznać, że schludnie wyglądają. Szokujące jest to, że niczego dookoła nie widać oprócz zielonych, wysokich gór. Tak jakby poza ich szkołą i naturą już nic nie istniało.

Ciągle zadziwiają mnie tragarze, których widzimy na co dzień. Dzisiaj mijają nas z olbrzymimi, prostokątnymi paczkami na głowie. Tym razem bez opasek i koszy na plecach. Są to handlarze, którzy zatrzymują się przy domostwach. Oferują materiały, odzież, makatki, dywaniki. Muszą się bardzo natrudzić i nawędrować, żeby zarobić parę rupii.

(...)

27.09 (poniedziałek). W dzisiejszym dniu mamy niezbyt ciężki szlak, choć czasowo podobny do wczorajszego. W dalszym ciągu narzekamy na złą widoczność. Chmury ciągle przesłaniają nam pejzaż. Pod górę wchodzimy już znacznie wolniej, bo jesteśmy na większej wysokości, a kamienisty szlak spowalnia wędrowkę. Zbliżając się do Junbesi (2700 m n.p.m.) pokazują się na moment ośnieżone szczyty gór. To mnie zachwyca, dodaje sił i podnosi poziom adrenaliny. Znajdujemy przyzwoity nocleg za tę samą cenę jak poprzedni. Smaczniejszy obiad, mycie pod prysznicem podnosi

mię do duchu. Kręcimy się po wiosce, trafiamy na mały sklepik, gdzie uzupełniamy zapasy na dalszą drogę. Kupujemy puszki z tuńczykiem i wysnionego ogórka. Ruszamy na widokowe miejsce, z którego daleko majaczy szczyt Mount Everest. Jutro po śniadaniu planujemy zwiedzić monastery. To tylko godzina drogi w górę.

28.09 (wtorek, szósty dzień wędrowki). Zaplanowana wycieczka do monastynu okazała się bardzo interesująca. Docieramy do osady, gdzie przebywają i żyją tylko mnisi. Zwiedzamy ten obszar, pozwalają nam wejść do środka i obserwować codzienne życie. Jak się to mówi, od kuchni. Wchodzimy do pomieszczeń, tam przygotowują posiłki na 200 osób. Wśród nich żyje 50 mniszek. Trafiamy akurat na zbiorowe obieranie ziemniaków przez kobiety. W drugim pomieszczeniu mnisi na uroczystość lepia z ryżu stożki. Mają swoją klinikę i lądowisko dla helikoptera. Są otwarci i wszędzie nas wpuszczają, zapraszają na dziedzińce. Wchodzimy do świątyni, akurat rozpoczyna się czas modłów. Gorzej było z wyjściem na zewnątrz, bo na ten czas zamknęli bramę.

Zbyt długo nie musimy czekać. Dobiągają się spóźnialscy, a my wykorzystujemy moment, czmychając prędko, zanim znów zamkną. Bardzo mnie zaintrygował widok przerzuconych lin na dużej wysokości, z jednej góry na drugą. To wiszące w przestrzeni kolorowe, postrzępione, trójkątne chorągiewki. W drodze powrotnej przykuwa mój wzrok obraz, jak na płótnie Chełmońskiego, Orka Nie mogłam uwierzyć, że widzę to w rzeczywistości. Rolnik za pomocą dwóch wołów bronuje pole. Jeszcze bardziej prymitywnym narzędziem jak na obrazie.

Na następny dzień po śniadaniu ruszamy w drogę w kierunku miejsca widokowego na górę Mount Everest. Po drodze ciągle przyglądamy się z zainteresowaniem tragarzom. Przemierzając wioski przez góry i doliny dźwigają olbrzymie ciężary. Pytamy z ciekawością o kilogramy. Ekwipunek jednego z nich waży 66 kg. Jest to duży kontrast ze szczupłą i drobną posturą mężczyzny.

Kiedy docieramy na miejsce widzimy tylko dwa noclegowe domy. Ten, który wybieramy, jest tańszy, ale też bardziej przypada nam do gustu. Koło hotelu jest murowana toaleta, to coś więcej niż dotychczas. Na dachu siedzi, jak później się okazało, żona właściciela. Dużą, profesjonalną lornetką wypatruje odsłonięcia się spoza chmur szczytu Mt Everest. Może jest to też zachęta do wypożyczenia sprzętu i sposób zarobku?

W izbie czekamy na zamówiony posiłek. W międzyczasie degustujemy lokalny trunek. Zanurzamy usta w płynie o lekkim posmaku bimbrowy. Szybko działa po całodziennym wysiłku i zmęczeniu. Robi się przyjemnie. Mały rausz przynosi odprężenie i chęć rozmowy, a właściwie serię pytań. Pośredniczy w nich nasz Nil. Powoli zaczynają zbierać się miejscowi ludzie i inni wędrowcy. Wnętrze z dużym stołem przy palenisku zaczyna ożywać. Dają się skusić na herbatę tybetańską z mlekiem i tłuszczem, trochę na słono. Usta wykrzywiają mi się w grymasie, zupełnie to nie mój smak.

(...)

2.10 (sobota). Dziesiąty dzień wędrowki. Cieszę się, bo mamy do przejścia zaledwie cztery kilometry. Jak się okazało optymizm i radość była zbyt wczesna. Do Chourikharka prowadzi krótki

szlak, ale jakże kamienisty, w dodatku z fragmentami mokrego podłoża oraz strumykami. Mijamy karawany osiołków niosących worki. Głównie jest to ryż, podstawa żywienia Nepalczyków. Po drodze obserwujemy życie mieszkańców. Na progu domu, jak małpki, mamy iskają swoje dzieci. Jedyne, czego można im pozazdrościć, to bujnych czupryn.

Po drodze zainteresowała nas para mężczyzn. Jeden z nich miał zawiniętą, chorą nogę, najprawdopodobniej złamaną. Zatrzymujemy się, a Nil przeprowadza z nimi wywiad. Dowiadujemy się, że długą drogą wracają do domu bez jakiegokolwiek pomocy medycznej. Nie stać ich na ubezpieczenie. Leczenie odbywać się będzie naturalnym sposobem, noga bez nastawiania sama się zrośnie. Żal nam się zrobiło tych ludzi, chcieliśmy jakoś pomóc. Z naszej apteczki podaliśmy tabletkę przeciwbólową, żeby choć trochę ulżyć w cierpieniu.

Mijając często tragarzy i wędrujących ludzi zwróciliśmy uwagę na kaszlenie. Częściowo jest to konsekwencją palenia papierosów. Cena papierosów jest bardzo niska, wobec czego aż 80% społeczeństwa pali. Do tego dochodzi zadymienie w izbach, w których mieszkają. Wyprowadzone rury na zewnątrz w formie wentylacji są w oplakany stanie. Często dziurawe, albo w ogóle ich nie ma. Sufity są bardziej czarne jak podłogi. Chyba w podobnym stanie mają płuca.

Zmęczeni dochodzimy do wys. 2760 m, do osady Chourikharka o wyższym poziomie życia. Również dom, w którym się zatrzymujemy na nocleg, posiada lepsze warunki sanitarne.

Właściciel noclegowni prowadzi nas do monastynu. Mamy okazję oglądać, jak dzieci uczą się regionalnego tańca. Wśród nich jest też jego córka.

W drodze powrotnej zachwycamy się wielkimi głazami pokrytymi pismem i symbolami, obowiązkowo przyozdobione kolorowymi chorągiewkami. Te ogromne kamienie mają jakąś moc i ukrytą informację. To tylko moje subiektywne odczucie, bo i tak nic z tego nie rozumiem. Samo literactwo ręcznie malowane jest już lokalną sztuką.

3.10 (niedziela). Przywitało nas czyste niebo, a co za tym idzie dobra widoczność. Wreszcie odsłaniają się nasze oczekiwane góry i ośnieżone szczyty. Potęga gór, przepaści, prawie pionowych stoków jest piękna, czasami aż przerażająca. Wśród masywów górskich bardzo mnie zachwycają nieogarnięte przestrzenie. Droga w dniu dzisiejszym nie zapowiada się na uciążliwą. Odcinek mamy pokonać w sześć godzin.



Namche Bazaar

Po drodze mijamy grupy jaków, może nie całkiem tych wysokogórskich z długą sierścią, ale jest to już początek prawdziwego pejzażu himalajskiego. Idąc przez kolejną wioskę mijamy mały sklepik. Przed nim stoją pudła z kurami. Marian z zainteresowaniem ogląda i żartobliwie mówi o kupnie. Natychmiast reaguję i biorę to na poważnie. Tylko kto ją oprawi i gdzie ugotujemy rosół? Nil się podejmuje zadania. Przeprowadza rozmowę i licytację z właścicielką. Ostatecznie ustala 700 rupii, co nas zadowala i kupujemy biedactwo. Jak się później okazało, pod piórami nie miała za wiele do jedzenia. Ustalamy z naszym tragarzem, że po przyjeździe na miejsce wszy-

stko zorganizuje i zajmie się gotowaniem. Ma w wioskach zaprzyjaźnionych ludzi, ponieważ dawniej często prowadził turystów tymi szlakami.

Po zakupieniu sztuki Nil związuje kurze nogi i tak do końca trasy niesie ją w garści jak chwast. Biedne zwierzę, dynda głową w dół i nie protestuje zbyt, pogodzone ze swoim losem. Przychodzimy do wioski Monjo (wys. 2815 m n.p.m.), tam szukamy noclegu, a Nil w tym czasie organizuje u swojego znajomego oprawianie i gotowanie wymarzonego rosółka.

Do czasu przygotowania spacerujemy wzdłuż wsi, siadamy na ławce i obserwujemy przechodzących ludzi. Większość z nich ma małe bagaże, resztę ciężaru niosą tragarze. Są to zorganizowane grupy. Z podziwem patrzymy na wędrujące siedemdziesięcioletnie babcie. Jak się okazuje, na zdobywanie i zachwyty świata nie ma granic wiekowych. Wystarczą chęć i kondycja, którą można sobie wcześniej przygotować.

(...)

4.10 (poniedziałek). Wyruszamy w stronę Namcze, miejscowości, w której mamy przejść kilkudniową aklimatyzację wysokościową. Położona jest na wys. 3547 m n.p.m. Trasa do miasta w połowie jest lekka, potem przechodzi w trudniejszą, bardziej stromą. Dochodzi jeszcze rozrzedzone powietrze, więc trudniej się oddycha i porusza. Nie mam świadomości, co mnie czeka.

Miasto jest bardzo pięknie położone, tarasowa zabudowa w niecce, która przypomina misę. Dom przy domu, z niebieskimi dodatkami i wąskimi uliczkami, tworzą malowniczy obraz. Przed budynkami i sklepami wystawione są kramiki z rzemiosłem i odzieżą. Za niemałe pieniądze można się zaopatrzyć w cały sprzęt turystyczny. Nie ulega wątpliwości, że są to podróbki dobrych firm. Jest również jeden sklep z firmową odzieżą turystyczną.

W miasteczku czeka na turystów bardzo dużo hoteli, o różnym standardzie. Na takie oznaczone gwiazdkami nie można liczyć. Jednak w porównaniu z poprzednimi warunkami, jakie mieliśmy, w Namcze są dużo lepsze. Wybieramy tańszy, ale mamy za to widok na góry. Za odpłatnością można też zamówić ciepły prysznic, niektóre hotele taki luksus posiadają. Tego dnia jemy porządny obiad. W jadłospisie jest stek z jaka, frytki, gotowane warzywa. Ho, Ho. Prawie Hilton. Zajadamy się po tak jałowych i monotonna dotychczas posiłkach.

Nasz hotel jest położony nieco wyżej od centrum, które jest skupiskiem wąskich, handlowych uliczek. Schodzimy

do miasta. Chcemy zaopatrzyć się w drobne produkty, puszki typu mielonka, tuńczyk, owoce i warzywa. Może to myślenie na wyrost? Cieszymy się, kiedy w małym sklepie trafiamy na kilkanaście pomidorów. Na wyjazd zabraliśmy tabletki witaminowe i tran, więc gdyby nawet ich w ogóle nie było, daliśmy radę. W miasteczku można się pożywić europejskim jedzeniem, zakupić też świeże pieczywo. Ceny są wysokie w porównaniu z miejscowymi potrawami, ale przecież jesteśmy w znaczącym mieście turystycznym, bazą aklimatyzacyjną.

Ela Thulie

OD EUROPODÓW DLA ANTYPODÓW

Niezwyčajni Euroobywatele: MARCO POLO

W JEDWABISTYCH PIELESZACH

KARNAWAŁ W WENECJI w tym roku rozpoczął się wcześniej, już w sobotę 27 stycznia. Wielu uważa go za najpiękniejszy w świecie i chyba słusznie. Tęgo roku wenecki karnawał tworzy część celebrowanego w Wenecji Roku Marco Polo, który potrwa aż do końca grudnia. W roku 2024 przypada bowiem (20 września) okrągła **770. rocznica** narodzin sławnego podróżnika oraz jeszcze okrągłejsza, bo **700-setna** rocznica jego śmierci (8 stycznia). Nie ulega wątpliwości, że Wenecję świat cały zna dzięki gondolom, karnawałowi, najstarszemu w świecie festiwalowi filmów, Giacomo Casanovie, ale przede wszystkim dzięki Marco Polo, bo to on rozślawił to miasto położone nad 178 kanałami.

Podaną powyżej datę oraz miejsce urodzenia Marco Polo przyjmuje się oficjalnie i niemalże powszechnie, co jednak nie oznacza, że w stu procentach są one pewne. Jest bowiem niemała liczba historyków, zwłaszcza chorwackich, którzy utrzymują, iż słynny podróżnik nie urodził się w Wenecji, lecz na wyspie zwanej wówczas Curzola w mieście o takiej nazwie. Aktualnie tak owa uroczą wyspa, jak też miasto, zowią się Korčula. Zwolennicy owego poglądu twierdzą, że Marco Polo tak naprawdę nazywał się Marc Pol, a jego nazwisko pochodziło od nazwy gatunku rybitwy, w Dalmacji zwanej pol właśnie, zaś w Wenecji *polo* albo *pollo*. A to ci dopiero! Marco Polo Słowianinem? Nie cieszymy się z nadto, Dalmacja bowiem w owych czasach należała do Republiki Weneckiej, tak więc jedwabisty podróżnik tak czy owak był Wenecjaninem.

JAKI SYN, TAKI TATA – Ojcem Marco, gdziekolwiek ten się urodził, był także Wenecjanin Niccolò Polo, zamożny kupiec prawdopodobnie posiadający kamienicę w Wenecji przy Campiello del Teatro, nad rzeczką San Giovanni Crisostomo, nie tak znów daleko od Grand Canal. Dom nie zachował się do dziś. W latach 1675-78 na jego miejscu oraz kilku innych kamienic powstał słynny teatr operowy, Teatro San Giovanni Crisostomo, aktualnie zwany Teatro Malibrán, od nazwiska sławnej hiszpańskiej śpiewaczki, Marii Guacii Malibrán. Z końcem roku 1253 kupiec Niccolò ożenił się, jak zwykła to czynić większość mężczyzn. Jego wybranką była Nicole Anna Defuseh. Przeżywszy z nią kilka miodowych miesięcy, zaraz z nastaniem wiosny następnego roku niedawno ożeniony kupiec czule pożegnał się z niedawno poślubioną, żeby wraz ze swoim bratem Maffeo skierować się do **Konstantynopola**, gdzie obaj mieli swoją placówkę dla pomnażania tam majątku, zostawiając żonczkę w trzecim miesiącu stanu odmiennego. Na narodziny potomka albo potomkini solennie obiecywał powrócić. Słowa jednak nie dotrzymał. Kiedy 20 września w roku 1254 Nicole Anna wydała na świat syna, Marco, jego ojciec i stryj przebywali daleko od Wenecji. Mieli przebywać poza nią długo, coraz bardziej też się od niej oddalając. Marco pozostwał w domu z mamą. Dorastając, zapewne coraz częściej przeglądał ojcowskie mapy, zastanawiając się, gdzie też tata akurat raczy przebywać. Lata nieubłagalnie mijały. Oczyma wyobraźni Marco współpodróżował ze swoim ojcem i stryjem.

Tymczasem ojciec ze stryjem, zamiast przybliżyć się ku Wenecji, coraz bardziej się od niej oddalali. Po ponad pięciu latach pobytu w Konstantynopolu dwaj bracia handlowcy Niccolò

i Maffeo Polo odprawili list do Nicole Anny, informując ją, iż interesy w ich rodzinnej placówce handlowej w **Sudaku na Krymie** fatalnie się mają, przeto muszą jak najrychlej tam się udać, żeby ich dopilnowywać. To też uczynili. Niccolò wiedział wówczas, że w Wenecji ma pięcioletniego syna o imieniu Marco, co jednak nie przeszkodziło obu ambitnym braciom kontynuować podróż na wschód, zamiast wracać do Wenecji. Usprawiedliwiali się, że drogi łączące Krym z Konstantynopolem pełne są rabusiów i wszelkich zbrojów, nie warto przeto narażać życia. W takiej sytuacji bracia zdecydowali skierować swe kroki jeszcze dalej na wschód, ku Złotej Ordzie, obejmującej tereny od dzisiejszego Kazachstanu niemal po Dniepr.

Nową stolicą mongolskiej Złotej Ordzy był w owych czasach **Saraj Berke**, miasto dziś już nie istniejące, w XIII stuleciu liczące więcej mieszkańców niż Paryż albo Londyn (jego ruiny można obejrzeć w okolicach miasteczka Cariewo nad Wołgą, niewiele ponad pięćdziesiąt kilometrów na południe od rosyjskiego Wołgogradu). Władający Złotą Ordą Berke-chan, wnuk Dżyngis-chana, przyjął tam obu z całą atencją, przeto w Saraj Berke zatrzymali się na ponad rok, z najszerszym zamiarem powrócenia do Wenecji. Trzeba trafić, że akurat kiedy pakowali walizki, Berke-chan rozpoczął wojnę z Hulagu-chanem, swoim krewniakiem, jeszcze innym wnukiem Dżyngis-chana, władającym podbitą przez Mongołów Persją. Coraz bardziej ciekawi mongolskiego świata bracia Polo (wówczas obaj opanowali już mongolską mowę) obrali kurs ku centralnej Azji i na trzy lata (1263-66) zatrzymali się w **Bucharze** (aktualnie Uzbekistan) handlując, zaś w wolniejszych chwilach wylegując się na tamtejszych dywanach. Marco tymczasem z etapu dziecięcego wstąpił w wiek nastoletni. Na razie jedenaście- i dwunastoletni.

Figlarny los sprawił, iż jego ojciec i stryj akurat wtedy napotkali zmierzającego do **Chanbafyku, ówczesnej mongolskiej stolicy** (to dziś Pekin) wysokiej rangi mongolskiego urzędnika. Ów obiecał im spotkanie w stolicy w samym Kubilaj-chanem, jak miał się wyrazić „władcą wszystkich Mongołów”. Takiej okazji wenecki bracia nie mogli przepuścić! Władca wszystkich Mongołów, dzięki wstawiennictwu nieznanego z imienia swojego przedstawiciela, zaprosił egzotycznych przybyszów do swej wspaniałej rezydencji, być może ugościł cielęcinką gotowaną w mleku (to tradycyjny mongolski przysmak), soloną zieloną herbatką, poczem zaprosił na rozmowę zakrapianą kumysem. Mongolski chan zainteresował się egzotycznymi przybyszami, ponieważ wielce kusiła go ekspansja jego imperium na zachód. Ciekawiło go też nawiązanie osobistego kontaktu z papieżem, wówczas Klemensem IV. Podczas kolejnego spotkania Kubilaj-chan wręczył dwom Wenecjanom napisany przez swojego sekretarza list do papieża Klemensa. Na drogę wyposażył braci w pajdę – złotą tabliczkę z wytłoczoną na niej własną pieczęcią i podpisem. Ta miała im zapewnić bezpieczną podróż przez wszystkie tereny wówczas oprowadane przez mongolskiego chana, praktycznie aż do Małej Armenii (aktualnie prowincja Adana w południowej Turcji). Stamtąd bez większych kłopotów bracia dotarli do Akko, podówczas stolicy Królestwa Jerozolimskiego, założonego w czasach wojen krzyżowych.

W Akko kardynał Tedaldo Visconti, pełniący tam funkcję papieskiego legata w Królestwie Jerozolimskim, przekazał obu braciom niezbyt pomyślną nowinę: oto przed trzema miesiącami, 29 listo-

pada 1268 r., zmarł w Viterbo, w wieku 78 lat papież, Klemens IV. Kościół katolicki pozostał bez swego formalnego oraz duchowego przywódcy i miał w takim stanie pozostawać bardzo długo, aż do 1 września 1271 r., przez dwa lata, dziewięć miesięcy i dwa dni. Kardynałowie-elektorzy bowiem przez tak długi okres nie potrafili wybrać nowego papieża. Na przeszkodzie jego wyboru upornie stał Karol I Andegaweński, król Sycylii i Neapolu. Kardynał Visconti zalecał obu podróżnikom poczekanie na wybór papieża w Akko, ci jednak zdecydowali udać się z Ziemi Świętej w dalszą drogę, ku swojej Wenecji.

Przed drzwiami swojego domu Niccolò i Maffeo Polo stanęli w marcu 1269 r. Tu oczekiwali ich szokująca wieść: oto niedawno rozstała się z życiem Nicole Anna, przed sześciu laty poślubiona przez zamożnego kupca-obieźwiata, Niccolò Polo, stając się dzięki temu szwagierką Maffeo, jego brata-obieźwiata. Umierając w wieku niespełna 35 lat, zabrała owa kobieta osierociła jedyne go swojego syna, Marco, obecnie liczącego sobie czternaście i pół roku życia. Ów dopiero teraz po raz pierwszy zobaczył i poznał swojego ojca.

KÓMU W DROGĘ, TEMU DOBRE BUTY – Na wybór nowego papieża dwaj bracia oczekiwali w Wenecji bardzo długo, nie mając pojęcia, iż są oto świadkami najdłuższego konklawe w całej historii Kościoła Katolickiego. Cierpliwości wystarczyło im na dwa lata i dwa miesiące. W końcu maja 1271 r., zaniepokojeni o losy swoich faktorii w Konstantynopolu oraz w krymskim Sudaku, obuli dobrze podzelowane buty, poczem opuścili już wówczas karnawalową Wenecję (powiada się, że pierwszy karnawał celebrowano tam już w roku 1162), **zabrawszy z sobą blisko siedemnastoletniego Marco**, udając się na początek do Konstantynopola. Tam zabawili niedługo. Upewniwszy się, iż ich placówka działa bez zarzutu, postanowili popłynąć dalej ku wschodowi, do Akko, żeby tam spotkać się z jego emnencją, kardynałem Tedaldo Viscontim. Temu oznajmili, że postanowili oto ponownie udać się na dwór Kubilaj-chana, ażeby oddać mu jego list do papieża Klemensa IV, którego nie zdołali dostarczyć z powodu zgonu adresata. Ale skoro już dotarli do Akko, postanowili udać się jeszcze nieco dalej na południe, do Jerozolimy, ażeby tam, w Bazylice Grobu Pańskiego, kupić dla mongolskiego chana wonne oleje, jakimi już w roku 33 naszej ery nawłożono ciało martwego Jezusa przed złożeniem go do grobu, takie bowiem Kubilaj-chan zażyczył sobie, ażeby w swoim Chanbafyku móc się nimi balsamować. I właśnie kiedy z sakiewki rozliczali się za wonne oleje, do Jerozolimy docwałował zziębnięty kardynał Viscontiego, nakazując im jak najszybszy powrót do Acco, wydarzyło się bowiem coś nadzwyczajnego. Nie zdradził podróżnikom szczegółów, a ci też z braku telewizji **RAI 1**, internetu, a nawet dziennika *Osservatore Romano* nie wiedzieli, o co chodziło.

A chodziło o coś naprawdę bardzo ważnego. Oto w Viterbo, mieście położonym o rzut tiarą na północ od Rzymu, gdzie po raz kolejny zebrali się w okazałej willi kardynałowie elektorzy, by próbować wybrać nowego papieża, nerwy puściły miejscowym mieszkańcom. Ci szczęelnym kordonem otoczyli kardynalską willę, nie dopuszczając do niej dostawców żywności ani nawet napojów. „My bez modlitwy wytrzymamy bardzo długo” – krzyczano pod oknami. „Ciekawe, jak długo wy wytrzymacie bez jedzenia i picia!?” Najodważniejsi osiłkowie weszli na dach i pozrzucaли zeń dachówki, żeby piekące sierpniowe słońce skuteczniej przysmażało kardynalskie głowy. W zaistniałej sytuacji przewielebni uwinęli się szybkoiteńko - dnia pierwszego września roku pamiętnego wybrali

w Viterbo papieża nowego. A został nim ... Tedaldo Visconti, aktualnie przebywający w Akko. Ten wszak na przeprowadzenie się do Rzymu potrzebował sporo czasu; ostatecznie, przybrawszy imię Grzegorza X, urząd w Piotrowej Stolicy objął 27 listopada 1271 r. Na odchodne w Akko zdążył jeszcze spotkać się z Niccolò, Maffeo i Marco Polami. Przekazał im spora szkatułkę z klejnotami w podarunku dla Kubilaj-chana, władcy wszystkich Mongołów, oraz list polecający. Do tego wszystkiego przydzielił trójce podróżników dwóch cysterskich mnichów, którymi byli Nicola di Vicenza i Guilielme di Tripoli, upoważniając ich do głoszenia na Wschodzie Ewangelii, a nawet dając im pełnomocnictwo do mianowania biskupów.

W połowie września pięciu śmiałków wyruszyło z Akko ku wschodowi, żeby po miesiącu zjawić się w jesienym i jeszcze dość ciepłym **Sudaku**, na tatarskim wówczas Krymie. Zaskoczyła ich tam niezbyt przyjemna wiadomość: oto pomiędzy wnukami Dżyngis-chana nasiliły się wojny, a w związku z nimi patrole na drogach prowadzących ku **Saraj Berke, stolicy Złotej Ordzy**, nie przepuściły tamtejszą piątki podróżników, ci przeto skierowali się na południe, ku **Armenii**. Po przybyciu do **Eczmiandzynu** młody Marco, niezmiernie ciekawy świata, koniecznie chciał się wspiąć na górę Ararat, żeby zobaczyć w jej lodach szczątki Arki Noego. Nastroje podróżników skutecznie zamroził tamtejszy sułtan, Bajbars, nie tolerujący pobytu na swoim apostolskim terenie konkurencyjnych mnichów katolickich, grożąc im nawet uwięzieniem i skazaniem na śmierć. W tej sytuacji Nicola z Vicenzy i jego cysterski współbrat Guilielme, co rychlej dopięli sandały, zakasali habity i chyżo pocwałowali z powrotem ku Europie. Trzej Polowie na polu zmagali z azjatyckimi przestrzeniami pozostali sami, jednak dzięki złotej pajdze Wielkiego Chana czuli się w miarę bezpieczni. Woleli jednak nie ryzykować zimą wyprawy przez Persję, skierowali się zatem ku cieplejszemu południowi, zamierzając w **Ormuz** trafić na jakiś okręt płynący do Indii i taką drogą dotrzeć do wytęsknionego Chanbafyku, do Wielkiego Chana.

Człowiek mapy studiuje, diabeł go po nich kieruje. W Ormuz okazało się, że Wenecjanie nie napotkali żadnego godziwego okrętu zmierzającego ku Indii drogą morską, jak też normalnym okrętem przystoi. Zamiast więc się okrętować, dołączyli się do wielbądźniej, dwugarbnej karawany zmierzającej przez **Pustynię Perską do Baktrii** (aktualnie Balkh), miasta w Afganistanie, ważnego ośrodka handlowego położonego nad rzeką Amu-daria. Po drodze napotkali asasynów, ugrupowanie ekstremalnych i agresywnych wyznawców islamu. Ci jednak, zadowoliwszy się wysokim okupem, przepuścili wędrowców dalej. Ową zimę trzej Wenecjanie spędzili w **Badachstanie** (Badakstanie), ciągle na terenie dzisiejszego Afganistanu. Na rynku napotkali tu obfitość szafirów, szmaragdów i jaspisów, niezwykle cenionych w Europie. Zaraz dostrzegli w tym okazję do pomnożenia swej ciągle pęczniejącej fortuny. Tam jednak zmuszeni zostali do pozostania przez rok, bowiem najmłodszy z uczestników wyprawy, Marco, zapadł na jakąś nieznaną im chorobę. Prawdopodobnie była nią malaria. Młody Marco nie trwonił czasu. Nawet wypoczywając w pościeli uzupełniał swoje zapiski z podróży. Kiedy ozdrowiał, wyruszyli dalej, by z nastaniem lata przedostać się przez przełęcz **Terak** (Terek) – 3710 m n.p.m. na wschodnie skłony **Pamiru**, zniżające się ku centralnochińskim dolinom. Od Chanbafyku dzielił ich jednak jeszcze kawał drogi. Dla podratowania sił postanowili na rok zatrzymać się w

Cd. na str. 19

Tangut, dzisiejszym **Lanzhou**, stolicy chińskiej prowincji Gansu. Tu trzej Weneccjanie po raz pierwszy spotkali się z wyznawcami buddyźmu, którzy od samego początku przypadali im do gustu. W końcu trzej wytrwali podróżnicy na dworze Kubilaj-chana zameldowali się we wrześniu roku 1276.

Bracia Niccolò oraz Maffeo Polo, wręczyszy Kubilaj-chanowi papieskie listy, szkatułkę pełną klejnotów i wonne oleje z Bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie, nie zwlekając przedstawili władcy wszystkich Mongołów 22-letniego wówczas Marco, polecając go na służbę Wielkiemu Chanowi. Ów, dostrzegłszy u młodzieńca liczne pozytywne cechy, bez wahania postanowił przyjąć go na swój dwór. Spotkanie raczej miało miejsce w głównym pałacu chana w Chanbałyku (Pekin), choć mogło też odbyć się w jego letniej rezydencji w Shangdu nieopodal miasta Duolun na terenie Mongolii Wewnętrznej, około 450 km na północ od Pekinu, gdzie chan posiadał swój letni pałacyk wykonany z mocno zbitej trzciny, przez co jego ściany można było składać, a potem ponownie montować, niekiedy na tym samym miejscu – podobnie jak Mongołowie czynili to z yurtami. Młody Marco Polo owego szczegółu akurat nie ujawnia. W swoich zapisach wspomina jednak urocą kobietę o imieniu Czabi, najważniejszą z żon Kubilaj-chana, znacznie odeń młodszą i bardzo rozsądną. To ona nauczyla swojego męża zrozumienia dla innych kultur oraz tolerancji dla innych religii: buddyźmu, taoizmu czy islamu. Gdziekolwiek się to działo, Kubilaj-chan, w owym roku liczący sobie 61 lat, wybrał młodszego od siebie o niemal cztery dziesiątki lat Marco Polo swoim osobistym przedstawicielem, a także poborcą podatków w całym Kataju - północne Chiny, a też na południu, aż po teren dzisiejszych Indii, Mjanmy (Birmy), Laosu i Wietnamu. Mongolski monarcha lubił zatrudniać w swej administracji cudzoziemców, głównie Arabów, mniejszym zaufaniem obdarzał bowiem Chińczyków, a też własnych ziomków. Weneccjanin Marco Polo do owego modelu nadawał się znakomicie. W związku z powierzonym mu zadaniem musiał wiele podróżować; postanowił w trakcie swych podróży wszystko skrupulatnie notować. Jego ojciec i stryj pozostali w Chanbałyku na służbie u Kubilaj-chana, choć nie wiadomo, czym konkretnie się zajmowali. Młodzieniaszek Marco w tym czasie począł sposobić się ku swoim wożom.

Z zapisów Marco Polo wynika, że z **pierwszą ważną misją Wielki Chan Kubilaj posłał swojego nowego osobistego przedstawiciela do Karadżanu**. Dokładnie nie wiadomo, o jakie miejsce chodzi, ale z opisu Marco Polo wynika, iż musiało znajdować się na samym południu Chin, daleko od Chanbałyku, wyprawa bowiem zajęła ponad pół roku. Prawdopodobnie chodziło o tereny położone na północ od Himalajów, sięgających aż po wielkie rzeki Indochin. W swoich notatkach młody Weneccjanin wspominał, iż widział tam „lwy” (chodziło raczej o tygrysy) oraz „wielkie węże pływające się w wodzie”, które większość analityków marcowego tekstu kojarzy w krokodylami, wówczas bardzo mało znanymi w Europie. Marco Polo wiele miejsca poświęcił w swych zapisach wyznawcom buddyźmu, których napotkał w tamtych stronach. Owa religia bez reszty go zafascynowała.

Poselstwo do Indii – Na tę podróż, zleconą mu przez Wielkiego Chana w r. 1287, musiał Marco Polo poświęcić dwa lata. Być może zatrzymał się po drodze na jakichś wyspach (Tajwan, Hainan), ale o nich w swych notatkach nie wspo-

nił. Po jakimś czasie dotarł do wyspy znanej dziś jako Sri Lanka. Nie nadał jej odrębnej nazwy, uważał ją bowiem za część Indii, za to opisał ją jako najpiękniejszą wyspę świata, prawdopodobnie z uwagi na jej bogactwa naturalne, przede wszystkim kamienie szlachetne. Stamtąd dotarł do **Madrasu**, ale dalej w głąb półwyspu raczej się nie zapuszczał, a przynajmniej o tym nie wspomina. Z południa Indii ekspedycja Marco Polo udała się w kierunku dziś należącej do Jemenu wyspy **Sokotra**, choć tak naprawdę nie wiadomo, czy do jej brzegów dotarła. W dziennikach weneckiego obieżyświata pojawia się wszak nazwa Suqutra – wyspy zamieszkałej przez arabskich chrześcijan. Marcowa ekspedycja skierowała się na południe, by po dwóch tygodniach żeglowania dotrzeć do **Zanzibaru**, zdaniem Weneccjanina „wyspy wielkiej i szlachetnej”. Stamtąd Marco Polo skierował się jeszcze dalej na południe, docierając do wybrzeży **Madagaskaru**, który, nie wiedząc dlaczego, w swoich wspomnieniach przemilczał, pewnie uważając go za część kontynentu afrykańskiego, a ten w tamtych czasach mongolskiemu imperium jeszcze nie przynależał. Weneccjanin czym rychlej skierował swą flotę ku Indii.

Z rezultatów „marcopolowej” wyprawy do Indii i daleko dalej Wielki Chan niezmiernie był zadowolony, dostrzegał w nich bowiem nowe pole ekspansji – tym bardziej iż na Wschodzie jego wojskom niezbyt pomyślnie się wiodło. Niewiele wcześniej (1274 i 1281 r.) mongolska flota doznała sromotnych porażek w swych wyprawach przeciwko Japonii. Na domiar złego Mongołowie stracili liczne okręty w kampanii przeciwko Wielkiej Jawie, którą też sromotnie przegrali. Trzeźwo myślący Marco Polo zaraz spotkał się w Chanbałyku z ojcem i stryjem, ażeby wspólnie opracować strategię wycofania się do Wenecji na z góry ustalone pozycje, nie urażając przy tym posuniętego w latach Kubilaj-chana i wszystkich jego żon.

Trzej Weneccjanie nie zdawali sobie wówczas sprawy, że w dalekim Tabriz, stolicy Ilchanatu Perskiego, którym władał *ilchan* Argun wydarzyło się coś, co znacznie ułatwiło realizację ich planu (Persję zawojował Dżyngis-chan jeszcze w roku 1219). Oto w tamtejszym pałacu zmarła Bołgana, małżonka *ilchana*, Arguna. Tuż przed swą śmiercią ubłagała męża, by jej przyrzekł, iż jeśli po jej śmierci zechce ponownie się ożenić, weźmie sobie żonę z tego samego mongolskiego rodu, z którego ona pochodziła. Aby spełnić dane umierającej Bołganie przyrzeczenie, *ilhan* wybrał spośród swoich zaufanych urzędników i wysłał ich do Chanbałyku, z misją do Wielkiego Chana, śląc mu oprócz szkatułki klejnotów list, w którym prosił o wyszukanie dlań nowej żony i wysłanie jej do Tabriz w asyście trzech wysłanników. Wybór Kubilaj-chana padł na 17-letnią *gunż* (księżniczkę) o imieniu Kokaczin. Ta posłusznie zgodziła się udać – a miała jakieś inne wyjście? – wraz z trzema wysłannikami *ilchana* Arguna w długą i niebezpieczną drogę do Tabriz. W mongolskim imperium trwała tymczasem wewnętrzna wojna: spadkobiercy Dżyngis-chana zbrojnie spierali się o różne chanaty i na podróżnych czyhały liczne niebezpieczeństwa. W takiej sytuacji trzej emisariusze perskiego *ilhana* wpadli na pomysł udania się wraz z *gunż* Kokaczin oraz towarzyszącym jej licznym orszakiem do Persji, drogą morską, nie zaś lądem. 77-letni Kubilaj-chan nieproste zadanie powierzył raczej Weneccjaninowi Marco Polo (ów liczył sobie lat 38), którego po słynnej wyprawie morskiej do Indii uważał za wytrawnego żeglarza. Ten z ochotą zabrał się do dzieła. W **Zaiton** (po chińsku Quanzhou), porcie nad Cieśniną Tajwańską, szybkoitko skompletował flotę czterestu okrętów – wszak skromny orszak weselny *gunż*

Kokaczin liczył sześć osób – gotową do drogi. Na pokład swojego statku zaokrętował również własnego ojca oraz stryjka, uprosiwszy Kubilaj-chana o pozwolenie dla nich odwiedzenia przy okazji owej podróży rodzinnego Casa Polo w Wenecji, którego nie widzieli już od ponad dwudziestu lat. Wielki Chan okazał człowiecze serce.

Z **Zaiton** (aktualnie Quanzhou liczy prawie 9 milionów mieszkańców) „marcopolowa” ekspedycja z księżniczką Kokaczin wyruszyła z początkiem r. 1292, zaraz po ustaniu mousunu zimowego, ażeby w bezpiecznym miejscu przeczekać mousun letni. Prawdopodobnie ten przeczekano na Sri Lance albo w Madrasie, ażeby wszyscy mogli tam zaopatrzyć się w szmaragdy, szafiry i rubiny, a też poławiać perełki. Co się działo po ustaniu letniego mousunu Marco Polo dziwnie zamilkł. Wiadomo jedynie, że kiedy w roku 1293, półtora roku po wyruszeniu z Zaiton, Marco Polo zameldował się w perskim porcie, Ormuz, wpłynął tam zaledwie jednym okrętem z osiemnastoma osobami na pokładzie, pośród nich własnym ojcem i stryjem, księżniczką Kokaczin oraz *Kodżą*, jednym z „ilhanowych” wysłanników. Trzydzieścioro pozostałych okrętów wraz z ich załogami i weselnym orszakiem, a też szafirami, szmaragdami, rubinami i perełkami w tajemniczy sposób przepadło – do dziś biografowie Marco Polo spekulują, co też się stało. Najczęściej zrzucają winę na wszechobecnych na Oceanie Indyjskim piratów, ale w takim razie zastanawia jedno: dlaczegoż to zatopili oni trzynastkę pływających jednostek, zaś oszczędzili jeden okręt, akurat ten najważniejszy, pełny wszelkiego bogactwa? Cokolwiek by rzec, podróż Marco Polo do Persji z mongolską księżniczką jawi się czarną kartą jego biografii; o przybyciu Weneccjanina do Ormuz w 1293 r. wspominał również perski dziejopisarz, Raszid ad-Din.

Karta jeszcze bardziej szerniała w stołecznym Tabriz. Tam okazało się, że *ilchan* Argun całkiem niedawno raczył rozstać się z tym światem. *Gunż* Kokaczin nie pozostała żadna inna alternatywa – poślubiła Ghazana, syna Arguna, po jego zgonie nowego *ilchana* Persji. W weselnym orszaku asystowali im Marco Polo wraz ze swymi podstarzałymi ojcem i stryjem. Ci, zaraz po weselnym uroczystościach, skierowali się ku Wenecji, wzdłuż południowych brzegów Morza Czarnego. W Trapezuncie (dziś turecki Trabzon) jacyś dobrzy ludzie ulżyli im w mozole, rabując 4000 szczerozłotych, 24-karatowych *hyperpyronów* (złotych monet), które ważyły co najmniej 17 dzisiejszych kilogramów. Bez owego zbędnego obciążenia trzej wielcy Weneccjanie przybyli do Konstantynopola, skąd, po krótkim postoju na greckiej wyspie Eubea, powrócili do rodzinnego miasta w 1295 r., po 24 latach nieobecności. Zgodnie z przyrzeczeniem, listy od Kubilaj-chana niezwłocznie przekazali papieżowi, teraz już Bonifacemu VIII. Od czasów Grzegorza X na Piotrowym tronie zdążyło zasiąść aż siedmiu papieży. Nie na wiele się to zdało, bowiem sam Kubilaj-chan 18 lutego 1294 r. zmarł, kiedy w Rzymie znów nie urzędował żaden papież, mogący być bezpośrednim adresatem jego korespondencji. Inne chanowe listy Marco Polo przesłał królom Anglii, Francji i Hiszpanii, co też nie na wiele się im zdało. W tymże roku, cztery miesiące później w Wenecji, na wieczny spoczynek udał się Niccolò Polo, ojciec swojego syna Marco i brat swojego brata Maffeo. Liczył sobie 64 lata.

MARCO POLO, CZTERDZIE-STOLATEK - Utrudzony podróżowaniem Marco Polo zaległ w domu na jedwabistych pieleszach, śniąc o jedwabnym szlaku. Czasem z nudów zajrzał do notatek, tak po prostu dla odświeżenia pamięci. Zdjęć z podróży nie ogadał,

nie zabrał z sobą bowiem fotograficznego aparatu.

Marco Polo, waleśający się wzdłuż zalatujących weneckich kanałów nudził się przeogromnie. A ponieważ zebrało się na wojnę z Genuą, odwiecznym wrogiem Wenecji, wyostał ze swojego mongolskiego surduta szafirowe i rubinowe zaskórniaki, żeby sfinansować nimi budowę okrętu, którym sam postanowił dowodzić, co udawało się mu dopóty, dopóki w zasięgu wzroku nie było okrętów genueńskich. Te pojawiły się na wybrzeżu dalmatyńskim, w r. 1298, na przeciw wyspy Curzola (Korčula). Niepokonany okręt Marco Polo został jednak zwyciężony, a samego Marco wredni Genueńczycy pojмали w niewolę i zawlekli do Genui, osadzając za murami Palazzo di San Giorgio, stojącego tam do dziś. Genueńczycy zezwolili mu na spotkanie się z innymi uwięzionymi, a nawet na wychodzenie poza mury zamczyska. Marco uwielbiał opowiadać współwzięniom, a też przygodnym słuchaczom, o swoich podróżach po Azji, zwłaszcza po Chinach, tworząc wokół swej głowy osobliwą aureolę herosa. W takich oto okolicznościach poznał się w Genui z pizańskim notariuszem nazwiskiem Rustichello. Ten, od razu zaproponował podróżnikowi napisanie książki na podstawie jego opowiadań, najlepiej w starofrancuskim języku *langue d'oc*, ażeby od razu nadać jej międzynarodowy rozgłos. Podróżnik Marco do pomysłu od razu się zapalił niczym zeschnięte ściernisko od rzuconego w nie niedopałka. Natychmiast kazał przywieźć sobie z Wenecji swoje notatniki, ażeby nie pominąć nawet najdrobniejszego szczegółu.

W roku 1299 przesławny globtroter został zwolniony z genueńskiego więzienia, mógł więc powrócić do Wenecji. Tu, w następnym roku, licząc sobie czterdzieści sześć lat i przez nikogo nie przymuszany, ożenił się. Jego wybranka, Donata Badoer, męskiego potomka mu nie dała, ale za to trzy perełeczki o imionach Fantina, Bellela i Moretta. Wszystkie o nazwisku Polo.

OPISYWANIE ŚWIATA – Notariusz Rustichello da Pisa nie był biegły w języku *langue d'oc*. W spisanych przez siebie wspomnieniach Marco Polo roi się od błędów nawet tych gramatycznych i ortograficznych, co zaświadcza o językowej niestaranności autora, a też samego narratora relacjonującego swe przeżycia. Pierwsze wydanie drukiem dzieła *Le Divisament du Monde* (Opisanie Świata) ukazało się w Norymberdze, w r. 1477. Wiadomo, że w r. 1492 zabrał je z sobą Krzysztof Kolumb, bo przecież wybierał się do Indii, nie zaś do jakiejś Ameryki. Dokładnie sto lat po owej pierwszej edycji wydano, tym razem we Florencji, wersję włoską, której autorem był Gianbattista Ramusio. Niektórzy krytycy Marco Polo zarzucają mu, iż zamiast używać chińskich nazw odwiedzanych miejsc stosował nazwy... perskie(?). Otóż nie perskie, szanowni krytycy, lecz mongolskie, nie zapominajmy przecie, iż w XIII stuleciu Persja została podbita przez Mongołów, ci zaś pozmieniali nazwy geograficzne po swojemu. Ja w dzisiejszym artykule przytaczałem zarówno nazwy mongolskie, jak też chińskie, a gdzie trzeba było, również perskie, a nawet inne. Żywię nadzieję, że nikomu nie zamieszczę tym w głowie. A że brak w „marcopolowych” relacjach dokładnych informacji o chińskich tradycjach i zwyczajach? Odpowiadam: mnie dane było w mym życiu jakiś czas spędzić w Kraju Środka i też nie zdołałem tam poznać wszystkich jego zwyczajów i sekretów. Złoty hyperpyronów z Chin nie przywoziłem, ale do dziś przechowujemy w rodzinnym salonie przesliczne zastawy z prawdziwej chińskiej porcelany, a do tego, w mej domowej bibliotece, mnóstwo fotografii.

Czarno-biały obraz

Obsypany nagrodami na 48. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni - m.in. za główną rolę męską (Artur Paczesny jako Jarek Martyniuk) oraz za debiut reżyserski i scenariusz (Grzegorz Dębowski) - obraz współczesnej polskiej wsi, czyli „Tyle co nic” trafił do szerokiej dystrybucji kinowej. W międzyczasie Grzegorz Dębowski zdażył odebrać jeszcze prestiżową statuetkę Orła za „odkrycie roku”. Faktycznie, film wyróżnia się wśród obecnych propozycji dużego ekranu, chociaż nie zapewnia rozrywki łatwej i przyjemnej. Wiś, jaką widzimy, nie ma nic wspólnego z sielanką. Nie jest to miejsce piękne i wesołe: ogołocone pola przypominają ugory, drogi są rozjechane przez traktory i byle jakie, rozklekotane samochody. Wszystko tonie w błocie i szarzyźnie. Ludzie też nie są ani radośni, ani przyjaźni, a im więcej się dowiadujemy o ich tajemnicach, tym bardziej stają się antypatyczni. Twórca filmu kreśli ponurą egzystencję, która okolicznym mieszkańcom upływa między oborą, przygotowaniem posiłków, kościołem, z rzadka potańcówką (jedyna rozrywka oprócz telewizora) i pogaduszkami z sąsiadami. Patrząc na te trudne i nudne zmagania z codziennością trudno się dziwić, że młodzi marzą o tym, aby jak



najprędzej wyjechać do miasta. Miłość do ziemi, tradycyjny kult ojcowski wydaje się niepraktyczny i naiwny. To nie tyle wiś w krzywym zwierciadle, ile właśnie w ostrym, hiperrealistycznym aż do bólu odbiciu. Bez pudru i sentymentu, bez koloryzowania i upiększania. W tej scenarii widzimy problemy i konflikty trapiące mieszkańców. To nie wszystko: dodatkowym elementem scenariusza jest wplecenie wątku kryminalnego, który sprawnie i skutecznie usiłuje rozwiązać bohater filmu - Jarek Martyniuk. To ciekawa rola: aktor wiarygodnie rysuje postać rolnika-detektywa poruszającego się sprawnie wśród lokalnej społeczności, obnażając przy okazji wady i słabości poszczególnych mieszkańców. Mamy tu pałęjącą prowincjonalną korupcję, pazerność na ziemię, bezdusność i obojętność na kłopoty innych, zdradę interesów i puste obietnice władzy. Zrealizowany w stylu reportażu z terenu film „Tyle co nic” określany jest w stylu „jeden przeciw wszystkim, czyli western po polsku”. Z tym że Jarek nie jest ani uczciwym szeryfem, ani nawet szlachetnym kowbojem. Jego konfrontacja z systemem z góry skazana jest na przegrana, a odkrycie prawdy nie prowadzi do niczego. Chyba najbardziej gorzką refleksją jest to, że praktycznie nie ma wyjścia z tej matni. Każda z postaci chce po prostu coś ugrać dla siebie, znaleźć w miarę wygodną pozycję i zwyczajnie żyć dalej, nie angażując się po żadnej stronie. Tak zwany święty spokój i byle jaka stabilizacja wydają się szczytem marzeń. Ponury, ale bardzo intrygujący film - uniwersalna opowieść o człowieku w świecie, w którym uczciwość nie ma większego znaczenia.

Siła miłości

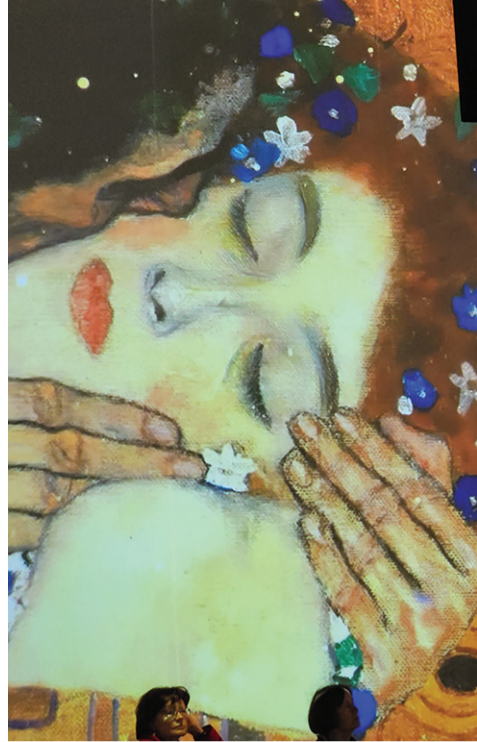
W obfitości produkcji polskiej kinematografii pojawiają się od czasu do czasu propozycje typowo rozrywkowe. Co wcale nie oznacza, że takie obrazy nie mają swoistej wymowy i refleksji. „Miłość jak miód” (reżyseria: Maciej Migas) adresowana jest do niezbyt wymagającej publiczności, która idzie do kina, aby spędzić w nim około dwóch godzin, może z torebką popcornu, pośmiać się, potem wrócić do domu i... zapomnieć. Premiera filmu odbyła się tuż przed „walentynkami”, bo jest to „apetyczna komedia” (tak przynajmniej zapewniała jej twórcy) o tym, że na miłość nigdy nie jest za późno. Bohaterki tej historii - Majka (Agnieszka Suchocka) i Agata (Edyta Olszówka) - dwie przyjaciółki w wieku średnim znalazły się na życiowym zakręcie. Majka jest od paru lat wdową, skupioną na dzieciach i wnukach oraz prowadzeniu cukierni. Już na nic nie oczekuje. Agata jest jej całkowitym przeciwieństwem: energiczna singielka (właśnie rozstała się z partnerem), nie założyła rodziny, koncentruje się na pracy i rozwoju osobowości. Nie zmienia to faktu, że na pytanie „co u ciebie słychać?” reaguje dość nerwowo. Obie nie chcą za nic w świecie przyznać się do porażki, ale kiedy się spotykają i zdobywają na chwilę szczerości, postanawiają dla żartu zaszać i zamienić się miejscami. Majka nagle ląduje w górach, które zamierza zwiedzać kompletnie nieprzygotowana do wycieczki. Agata trafia nad morze, gdzie niezdarne próbuje zająć się sklepikiem, nie mając zupełnie pojęcia o gotowaniu. Tak więc fabuła filmu opiera się na piętrzeniu zabawnych zdarzeń i dialogów, a bohaterki opowieści muszą zmierzyć się z nie lada wyzwaniem. Ich przygody, dość błahe i schematyczne, rozgrywają się w bajecznej scenarii Tatr i Bałtyku; zapewne właśnie urokliwe zdjęcia plenerowe ratują film. Ale przecież już Bolesław Prus pisał w „Faraonie”: „miłość jest jak miód: ze smakiem można jej kosztować”. Majka i Agata, dojrzałe kobiety „po przejściach” czują się rozgoryczone i



przegrane. Uważają, że już nic romantycznego im się w życiu nie przydarzy. Przestały wierzyć w siebie i w przyszłość, przytłacza je monotonia i nuda. A tymczasem... okaże się, że niespodziewane spotkania przerodzą się w coś trwalszego. Takie jest przesłanie filmu: miłość przychodzi nie wiadomo skąd i nie patrzy na metrykę. Trzeba jednak wykorzystać szansę, jaką daje los, bo może się już nigdy nie powtórzyć. Warto znaleźć w sobie odwagę, zaryzykować, spróbować postawić wszystko na jedną kartę. Naiwny, ale optymistyczny film jest potrzebny i spełnia zadanie: bawi i jednocześnie daje nadzieję. Perypetie obu pań oglądamy jak zgrabnie zrealizowaną bajeczkę, chociaż z drugiej strony wszystko jest możliwe. „Miłość jak miód” - film o gigantycznej potrzebie uczucia, bliskości drugiego człowieka, czyli o tym, co w życiu najważniejsze.

Mistrz secesji

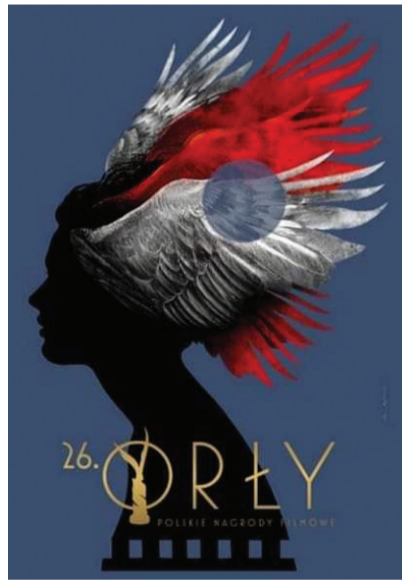
„Klimt - The Immersive Exhibition”. Dzięki tej wyjątkowej projekcji dzieł austriackiego malarza i rysownika, wybitnego przedstawiciela secesji i wiedeńskiego modernizmu, w warszawskim Soho Art Center możemy wejść w świat tego artysty. Wystawa prezentowana w Polsce po Toronto, Nowym Jorku, Miami, Dublinie, Wiedniu, Mediolanie, Paryżu i Londynie będzie czynna aż do lipca. Na zwiedzanie ekspozycji trzeba zarezerwować około dwóch godzin, bo czekają nie lada atrakcje. Najpierw wprowadzenie: najważniejsze fakty z życia Klimta, potem sala z kopiami jego najsłynniejszych obrazów, obowiązkowo pamiątkowe zdjęcie z figurą artysty naturalnej wielkości i wreszcie przestrzeń za kotarą, gdzie najnowocześniejsza technologia pozwala obejrzeć monumentalne dzieła wyświetlane na ścianach i ekranach - zarówno w całości, jak we fragmentach. Wszystko zmienia się płynnie, przesuwa, wiruje i oszalał. Tak, Gustav Klimt (1862-1918) był niezwykle, a nawet genialnym malarzem i wizjonerem. Pochodził z rodziny o tradycjach artystycznych. Ojciec był złotnikiem-grawerem, może stąd tak wiele złota w jego pracach. Klimt od młodego chłopca szlifował swój talent, wykonując dekoracyjne miniatury. Z pewnością przełomem w jego twórczości stała się koncepcja dzieła sztuki wolnego od konwencji, ograniczeń; idea totalnej swobody. Kolor, kształt, linie - wszystko wynika z natchnienia, uczuć, impresji i uwalnia od realistycznej treści obrazu. Wyjście poza schematy, burza dekoracyjnych wzorów, bizantyjski przepych, a przy tym subtelna zmysłowość - te elementy dzieł Klimta są znakiem rozpoznawczym jego stylu. A przy tym idealna technika i bogactwo wyobraźni; nie ulega wątpliwości, że Klimt zrewolucjonizował sztukę XX w. Po hucznych sukcesach (jego „Złota Adela” namalowana złotem i srebrem w płatkach została sprzedana za gigantyczną sumę... 135 milionów dolarów!) powiedział buńczucznie, że jest tylko dwóch malarzy - Velázquez i on. Sensacyjne dzie-



je tego obrazu podczas II wojny światowej opisała Anne Marie O'Connor w książce „Złota dama”, a w 2015 r. na jej podstawie Simon Curtis nakręcił znakomity film pod tym samym tytułem. Klimt pozostawił po sobie ogromny dorobek twórczy: zachowało się 250 obrazów i 3 tys. rysunków. Na wystawie zaprezentowano tak słynne dzieła, jak „Drzewo życia”, „Pocałunek”, „Danae”, „Ogród różany”, „Róże wśród drzew” i oczywiście „Złota Adela” wraz z wieloma innymi portretami. Są też urokliwe ogrody i kwiaty, bo Klimt uwielbiał naturę, która go inspirowała. Szczególnie fascynowały go róże, które dziś można oglądać w ogrodzie domu w Wiedniu, gdzie mieszkał i tworzył. Tamtejsze róże damasceńskie uwodzą swoim pięknem, barwą i zapachem jak wtedy, gdy artysta przyjmował gości w swojej pracowni. A dzieła Klimta wciąż są tak uwielbiane, że... pojawiają się na filizankach, wazonach, lampach, zegarach, talerzach dekoracyjnych. W ten sposób wędrują do domów w różnych zakątkach świata.

Orły

Przyznawane od 1999 r. Polskie Nagrody Filmowe ORŁY cieszą się prestiżem najważniejszych wyróżnień polskiej kinematografii. Filmy i ich twórcy wybierani są w dwudziestu kategoriach, a komu przypadną statuetki decyduje w tajnym głosowaniu ponad ośmiuset członków Polskiej Akademii Filmowej z Prezydentem Akademii, reżyserem i producentem Dariuszem Jabłońskim. W tym roku kandydowało kilkadziesiąt filmów i już ten fakt dowodzi, jak prężnie działa polska kinematografia. Do ostatecznych zmagania o ORŁY zakwalifikowano 86 filmów fabularnych, które spełniły warunki regulaminowe, 70 dokumentalnych oraz 21 produkcji serialowych. Podczas uroczystej gali w Teatrze Polskim w Warszawie poznaliśmy laureatów 26. edycji Nagród. Z historii ORŁÓW wiemy, że najczęściej, bo aż po 15 nagród otrzymały filmy: „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy” Jana Holoubka oraz „Boże Ciało” Jana Komasy. W tym roku nikt nie pobił tego rekordu, ale w różnych kategoriach powtarzały się następujące tytuły: „Zielona granica”, „Kos”, „Filip” i „Chłopi”. Faktycznie, właśnie o tych obrazach - chociaż nie zawsze pozytywnie - mówiło się i pisało najczęściej. „Zieloną granicę” uznano tym razem za najlepszy film roku, a reżyserka Agnieszka Holland ode-



brała ORŁA za Osiągnięcie Życia. Tym samym dołączyła do grona wybitnych twórców, aktorów i kompozytorów; takich jak Andrzej Wajda, Jerzy Kawalerowicz, Jerzy Hoffman, Janusz Morgenstern, Danuta Szaflarska, Franciszek Pieczka, Krzysztof Zanussi, Jerzy Skolimowski, Jan A. P. Kaczmarek i wielu innych, wyróżnionych tą nagrodą. „Kos” Pawła Maślony zebrał 6 statuetek (drugoplanowa rola kobieca, dźwięk, charakterystyka, kostiumy, scenariusz, reżyseria). To film jak widać dobrze zrobiony, który spodobał się publiczności, chociaż nie wyprzedził w tej kategorii „Chłopów”. „Chłopi” otrzymali również ORŁA za muzykę (Łukasz „LUC” Rostkowski). „Filip” zdobył statuetki za zdjęcia, scenografię, montaż i rolę główną (Eryk Kulm jr.). Po zakończeniu gali i rozdaniu ORŁÓW laureaci świętowali, inni nie ukrywali rozczarowania. Bo wśród kandydatów było wiele ciekawych filmów, które jednak przepadły w głosowaniu. Wśród wielkich przegranych: interesujący thriller psychologiczny „Figurant”, oryginalny film drogi - „Roving Woman”, ciepły film rodzinny „O psie, który jeździł koleją”, lekka „czarna” komedia „Masz ci los”, „Akademia Pana Kleksa” w nowej wersji, „Różyczka 2”. Na pocieszenie można przypomnieć, że nie są to jedyne nagrody filmowe w Polsce, a tym bardziej zagranicą. Na koniec ciekawostki: najdroższym polskim filmem w historii był „Quo Vadis” Jerzego Kawalerowicza, a najpopularniejszym „Krzyżacy” Aleksandra Forda. Minęło tyle lat, a wciąż je pamiętamy.

Beata Joanna Przedpejska

Melbourne pomaga w zakupie najwyższej klasy sprzętu do polskich szpitali

W niedzielę 28 stycznia w Polsce i w ponad stu innych miejscach na świecie odbył się 32. Finał WOŚP. Hasło tegorocznego Finału to „Płuca po pandemii”. Zebrane pieniądze przeznaczone będą na zakup najwyższej klasy sprzętu do diagnozowania, monitorowania i rehabilitacji chorób płuc. Sprzęt trafi do 15 oddziałów pulmonologicznych dla dzieci i 49 oddziałów dla dorosłych.

Już po raz 8 Finał WOŚP odbył się również w Melbourne.



Wolontariuszki na tle plakatu

Sądząc po wynikach oraz opinii uczestników, tegoroczna impreza była sukcesem nie tylko organizacyjnym, ale również finansowym.

Podczas Finału wolontariusze w różnych formach zebrali 21 506.33 dolarów plus do e-Skarbonki na konto Sztabu w Melbourne wpłynęło 6 572.00 zł.

Tak wielka suma to efekt nie tylko pracy Szefa Sztabu, ale całej rzeszy wolontariuszy, którzy poświęcili swój czas, swoją energię i nierzadko swoje pieniądze. Prace nad organizacją Finału rozpoczęły się wiele miesięcy wcześniej i grupa największych entuzjastów

głowiła się, jak uniknąć błędów i dopiąć wszystko na ostatni guzik.

To już tradycja w Melbourne, że na Finał przygotowywane jest pyszne polskie jedzenie podarowane i przygotowane przez naszych darczyńców i wolontariuszy. Były więc kielbaski, pierogi, pajda chleba i mnóstwo słodkości. W tym roku doszły jeszcze gofry i bigos.

Sporą sumę pieniędzy zebraliśmy również przez aukcje na żywo i tak zwane ciche aukcje. Nowością były natomiast aukcje internetowe na WhatsAppie.

Dodatkowymi atrakcjami generującymi datki był pomiar ciśnienia tętniczego, reiki oraz namiot artystyczny oferujący rękodzieła w postaci wianków i bukietów z australijskich roślin czy też śliczne robótki szydełkowe.

Przyjemną atmosferę stworzyli nasi niezawodni polonijni artyści. Muzyka i śpiew towarzyszyły odwiedzającym od samego początku aż do Finału ze światłem do nieba. Na koniec mieliśmy też połączenie na żywo z Warszawą.

W imieniu własnym oraz całego Sztabu chciałabym jeszcze raz podziękować wszystkim zaangażowanym – sponsorom, darczyńcom, wolontariuszom i naszym gościom. Już teraz zapraszamy na przyszły rok.

Zainteresowanych aktywnym zaangażowaniem się w tę wspaniałą akcję zapraszam na naszą stronę na Facebooku WOŚP Melbourne. Można się również z nami kontaktować przez Messengera lub email sztabwospmelbourne@gmail.com

Siema!

Ania Tomala

Szef Sztabu WOŚP Melbourne



„Łowicz”



Pieczenie kielbasek



Zdjęcie grupowe

OD EUROPODÓW DLA ANTYPODÓW

Dok. ze str. 19

W jednej z książek o tematyce religijnej oglądałem przed laty ilustrację o kuszeniu przez diabła Chrystusa w czasie jego czterdziestodniowego postu. Niegodziwy oto ofiarował Zbawicielowi wszystkie królestwa świata w zamian za złożenie mu aktu uwielbienia, co Pan Jezus zdecydowanie odrzucił. Na ilustracji pokazano kilka miejsc z istniejących w tamtym czasie „królestw”, pośród nich **Wielki Mur Chiński**, ów bowiem zbudowano niemal na pięć stuleci przed narodzeniem Chrystusa. Akurat o nim Marco Polo w swoich notatkach ani słowem nie wspomniał, choć z Chanbałyku (Pekinu) miał go w Badaling w zasięgu jednego wielbłądziego garba. Zachował się niczym ktoś, kto opisując Paryż nie wspominał o wieży Eiffla. Niektórzy, zważywszy na to, twierdzą, iż Marco osobiście nigdy w Chinach nie był, a swoje „Opisanie świata” spisał na podstawie czyichś relacji, co raczej nie jest możliwe. Chiny to kraj wielki i jest co w nim opisywać, a relacje z miejsc, jakie wymieniłem, są bardzo szczegółowe.

Siedemsetna rocznica śmierci najsłynniejszego Wenecjanina minęła ósmego stycznia, tegoroczny karnawał skończył się we wtorek, 13 lutego. Do rocznicy narodzin sławnego podróżnika trochę czasu jeszcze pozostało. Rok Marco Polo, jak to rok, potrwa do końca roku. Dla jednych wystarczy czasu, żeby Marco Polo uwielbiać, dla innych, by go krytykować i podawać w wątpliwość jego dokonania. Ja zaś zapraszam – zapytam po niemiecku: wohin? Do Chin!

Jerzy Leszczyński

Burmistrz Grzegorz Pietruczuk wraz z Radą i Zarządem Dzielnicy Bielany oraz Dyrektorem Biblioteki Publicznej im. Stanisława Staszica - Kinga Ratyńska

zapraszają na wernisaż

Beaty Przedpeńskiej

PLECIUGI

Wernisaż wystawy odbędzie się

29 lutego o godzinie 18:00

w Galerii Aneks Bielański, znajdującej się w siedzibie Biblioteki Bielany, przy ul. Romaszewskiego 19 w Warszawie.

Wystawa czynna

od 29 lutego do 28 marca 2024 r.

w godzinach otwarcia biblioteki.

O TKANINACH

Do projektowania tkanin autorskich zainspirowało mnie na początku mojej pracy dziennikarskiej, spotkanie z artystką jugosłowiańską - Sofiją Antonijević, z którą przeprowadzałam rozmowę na temat wystawy jej gobelinów w Warszawie. Wiele lat później, kiedy odkryłam w domu pudło z kolorowymi sznurami, postanowiłam poeksperymentować i wykonać własny projekt. Tak powstała pierwsza „pleciuga”, zatytułowana „Zakrecone myśli”. Dotąd wykonałam 32 tkaniny.

Moje „pleciugi” to opowieści: zapisy nastrojów, emocji, refleksji.

Na przykład „Ogrzej mnie” mówi o rozgrzanym do czerwoności słońcu, „Deszczowy dzień” jest utkany z szarości, „Iskierki nadziei” to błysk żywej czerwieni wśród ponurej czerni, „Malowanie świata” - cała paleta barw, ściekająca strugami jak farba z pędzla artysty.

„Pleciugi” wykonuję własną techniką autorską.



Znaki czasu



Zimowa noc

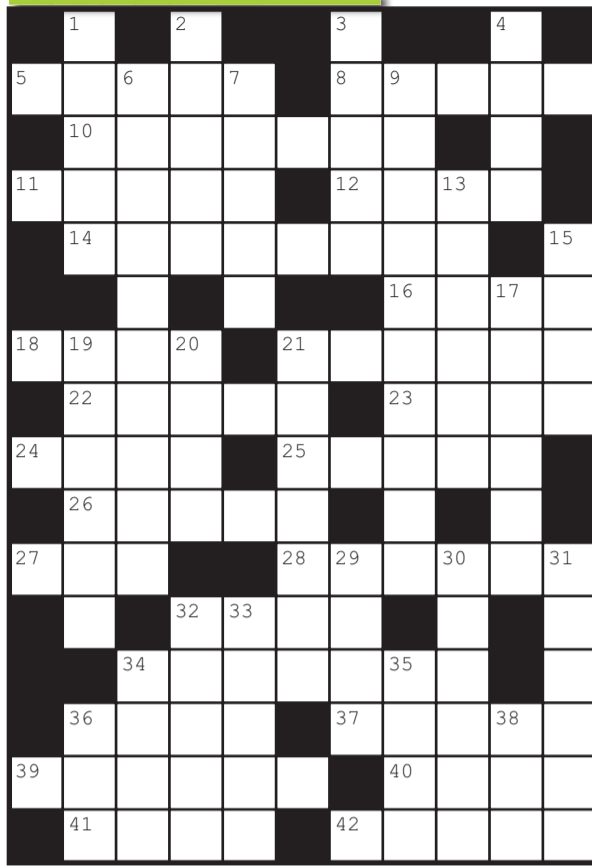
BEATA JOANNA PRZEDPEŃSKA.

Warszawianka. Łączy pracę dziennikarską i artystyczną. Absolwentka Wydziału Filologii Słowiańskiej oraz Podyplomowego Studium Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka audycji muzycznych w Polskim Radiu oraz artykułów w prasie polskiej i zagranicznej (m. in. korespondentka amerykańskiego magazynu „Billboard”). W „Tygodniku Polskim”, wydawanym w Melbourne (Australia) od ponad 30-tu lat prowadzi rubrykę „Echa warszawskich salonów”, poświęconą dyplomacji, kulturze i sztuce. Autorka książki „Gwiazdy...gwiazdki...gwiazdeczki muzyki lat 90.” Maluje, rysuje, projektuje ekslibrisy, maski oraz tkaniny unikatowe. Od 2006 roku swoje prace zaprezentowała na 23 wystawach indywidualnych. Bierze udział w licznych wystawach zbiorowych. Wykonane przez nią ekslibrisy pokazywane były w wielu krajach (m.in. Bułgaria, Turcja, Chorwacja, Włochy, Serbia, Niemcy, Litwa, Węgry, Meksyk) na wystawach pokonkursowych i na terenie całej Polski, zdobywając liczne wyróżnienia.

Drodzy Czytelnicy!

Powyżej informacja o kończącej się już wystawie Pani Beaty Joanny Przedpeńskiej „Pleciugi”. Gratulujemy Pani Beacie sukcesów na niwie artystycznej i życzymy dalszych owocnych projektów.
Redakcja

KRZYŻÓWKI WIELKANOCNE:



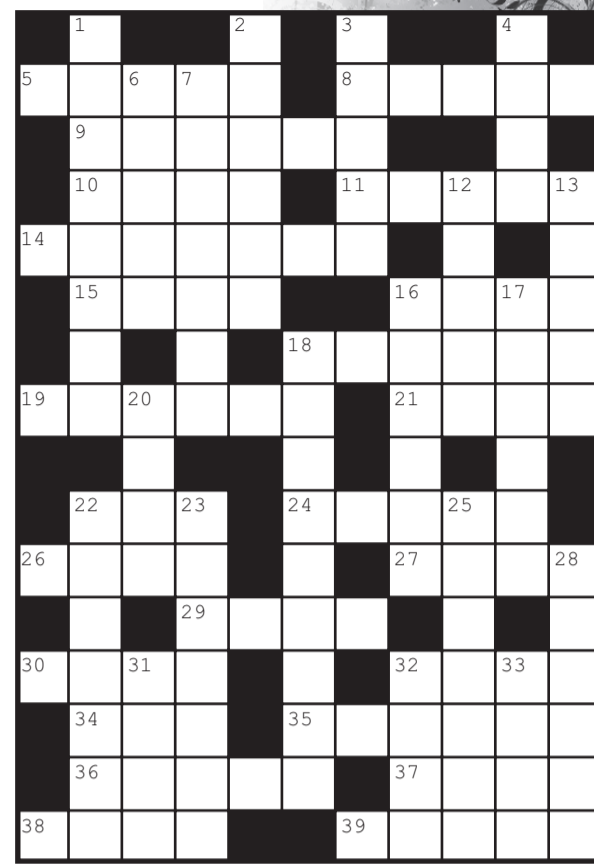
Poziomo: 5 pływająca 8 huk, łoskot 10 egoista 11 karciany młodzian 12 myłone z kobzą 14 wybiera papieża 16 miasto w pobliżu Osaki 18 ma swój fanklub 21 zakończenie 22 zasiali go górale 23 pokój mnicha 24 nosi głany 25 tkanina na pieluchy 26 pod opieką Melpomeny 27 pled 28 olejek do ciasta 32 dom Burka 34 wiosenny kwiat 36 przysznica 37 pospolita ryba morska 39 granie twarzą 40 bywa w bok 41 rakietka świetlna 42 na niej odważnik.

Pionowo: 1 kurtka dżokeja 2 nadworny Kozak w dawnej Rusi 3 iluzja, urojenie 4 rocznica ślubu 6 ma wykwiłtne maniery 7 wzmianka 9 gałąź przemysłu zajmująca się wyrobem butów 13 pośrednik handlowy 15 do pomiaru ciężaru ciał 17 biszkopt zwinęty w rulon 19 potocznie lekarz, medyk 20 używana do holowania 21 podium na występy 29 waluta RPA 30 może się przebrać 31 wózek na cegły 32 język programowania 33 małe pierożki 34 niedzielna Msza 35 do niego wrzucana piłka 36 przewozi towary tranzytem 38 jednostka monetarna Peru.

Poziomo: 5 zwierzę w paski 8 ... lukullusowa 9 błyskawica 10 źródło metalu 11 szerości szal futrzany 14 spray 15 pohukuje w lesie 16 sześcienny to kubik 18 narzędzie do opielania gleby 19 rodzaj gitary 21 gryzoń z rodziny aguti 22 szyfr 24 odłożona pługiem ziemia 26 owcza strzyża 27 chroni głowę cyklisty 29 ślad po pile 30 np. śniegowa lub bilardowa 32 odpoczynek 34 harmonia 35 region w Arabii Saudyjskiej 36 włosy związane przy uszach 37 Białowiecki Narodowy 38 blacha praczki 39 ozdabia kieszeń.

Pionowo: 1 surowy środek odwetowy 2 mór, epidemia 3 poziome wyrobisko górnicze 4 wyspa w kształcie pierścienia 6 lokum urzędników 7 genealogia 12 przewlekły niezbyt nosa 13 tętnica główna 16 teczka na plakaty 17 stan nad Zatoką Meksykańską 18 podkładka dla skrzypka 20 gaz w lampie 22 ptak lub cukierek 23 udziela wskazówek 25 szkło kryształowe 28 więzienie dla kanarków 31 wawrzyn 32 drzewo z fraszki 33 typ żaglowca.

NR 2



Rozwiązanie krzyżówki nr 1 z TP nr 05

Poziomo: 6 Kora 8 awista 11 wyłom 12 tunel 13 baba 14 apteka 16 loch 18 elekcja 22 spódnica 25 awans 26 punk 29 ratler 31 pień 33 Wola 34 kaganek 36 deska 38 pasikonik 43 Peszt 44 ruta 45 jantar 46 kres 47 ssak 48 tatra.

Pionowo: 1 kowal 2 pałac 3 lama 4 wist 5 styk 7 rybołów 9 szewc 10 abaka 15 piec 17 henna 19 listwa 20 kapela 21 jon 23 Pani 24 drań 27 uran 28 kruk 30 logik 32 ekspens 34 kaszak 35 emiter 37 kasta 39 itr 40 orka 41 nurt 42 kasa 43 pas.

Rozwiązanie krzyżówki nr 2 z TP nr 05

Poziomo: 6 teka 8 zodiak 9 goliat 10 kola 11 baszta 14 tyka 15 poczet 18 lont 21 bielarka 23 dożynki 25 nuta 26 trasa 29 brytan 30 krepa 33 kat 34 zbir 37 faworek 39 tatar 40 pole 42 weto 43 izotop 44 ranga 45 rosa.

Pionowo: 1 lego 2 fala 3 motak 4 giez 5 akta 7 kolce 8 zabytek 12 sala 13 tynk 14 teina 16 ogon 17 zbyt 19 ornat 20 taran 22 litr 24 żubr 27 rydz 28 sari 29 bateria 30 krater 31 ekoton 32 para 35 błoto 36 rzepa 38 wata 40 por 41 los.

Redakcja przypomina zainteresowanym, że ostateczny termin nadsyłania materiałów emailowo do następnego numeru Tygodnika Polskiego upływa we wtorek 2 kwietnia o godz. 18.00. polishweek@optusnet.com.au

Krotos - rysunek satyryczny



KSIAŻKA TELEFONICZNA



Za jedyne \$132 rocznie (INC. GST) numer Twojego telefonu pojawiać się będzie na naszych łamach przez okrągły rok. Znajdzie go tam tysiące naszych czytelników, a Twoich potencjalnych klientów. Przyślij nam swoje dane do Książki Telefonicznej i czek lub przekaz pocztowy na \$132. Spółka z Tygodnikiem Polskim to naprawdę bardzo dobry interes!

ADWOKACI

- Pietrzak Ryszard, Kew East, Vic. (03) 9249 9617
- Lily Safarewicz – adwokat, testamenty i prawo matrymonialne Caroline Springs, Vic. (03) 9449 8140
- Malewska & Associates Lawyers, Melbourne (CBD) Mob. 0408 583 950 Free Consultation
- Beata Bronowicka, polski adwokat i mediator w Australii mob. + 61 0415 669 819 email: bronowickalawyer@gmail.com
- Radek Dajer. Polski prawnik w Melbourne. Mówi po polsku i angielsku Tel. 0444 526 145. Email - radek@prolawyers.com.au. Strona internetowa - www.prolawyers.com.au

AGENCI PODATKOWI

- Henryk Stolarek CPA, Reg. Tax Agent, GST + BAS, pożyczyci henrystolarek@bigpond.com.au (03) 9874 4886 Mob. 0438 006 752

AIR CONDITIONING – KLIMATYZACJA

- Montaż systemów chłodzenia: split air conditioning, central ducted cooling, box air conditioning, instalacja i serwis. Pełna licencja. Free quotation. Andrzej Szymański (03) 9705 0804, Mob. 0412 173 145

BUDOWNICTWO

- Firma budowlana ellari HOMES. Mówimy po polsku. Damian Kot mob. 0477528741

DENTYŚCI I PROTETYCY DENTYSTYCZNI

- Protetyk dentystyczny, Bogusław Ring, Carnegie B.H. (03) 9569 1170
- Gabinet dentystyczny dr Chepul A. Camberwell (Vic) (03) 9882 5102, Sunshine (Vic) (03) 9311 1072
- Gabinet dentystyczny – dr Marzena Wojciechowicz 26-30 Waltham St. Sandringham (03) 9521 6996
- Protetyk dentystyczny – 192 Main Road East, St. Albans 3021, (03) 9364 3677

ELEKTRYCY

- Wszelkie usługi elektryczne domowe i przemysłowe, instalacja systemów klimatyzacji. Pełna licencja, free quotation. REC15030 Andrzej Szymański (03) 9705 0804, Mob. 0412 173 145

FOTO WIDEO I AUDIO

- Transfer kaset video, fotografii, filmów super 8mm, etc. na DVD Krzysztof (03) 9887 7197, Mob. 0413 931 274

IMIGRACJA

- Wizy imigracyjne, nauka w Australii. Agent imigr. 0533588 Hannah Malewska info@globalmigration.com.au 0408 583 950 (03) 8682 9256

MUZEJA/ARCHIWA

- Muzeum i Archiwum Polonii Australijskiej tymczasowo nie jest otwarte dla publiczności. Dalsze informacje 0403 655 044

NOCLEGI

- Hobart – Dom Polski w Hobart, 22–24 New Town Rd., New Town, TAS 7008, polish.association.hobart@gmail.com tel. 0408 298 176 lub (03) 6228 3686

SKLEPY

- Bałtyk Deli, shop 1, 4 Neville Ave. Laverton, duży wybór polskich wędlin i produktów delikatesowych, Dominik (03) 9191 7481

ŚLUBY

- Civil Marriage Celebrant (licencj. urzędnik państwowy) – śluby w języku polskim i angielskim – Zofia Mordes (03) 9503 9409 mob.: 0425 739 168

TŁUMACZE

- Tłumaczenia ustne i pisemne, j.angielski / polski, certific. NAATI Irena tel. 0420 605 511

USŁUGI OGRODOWE

- Ścinanie, podcinanie drzew, usuwanie korzeni, żywopłoty. Free quotes. Insurance. AH 9737 9947, Jurek: 0409 135 195, Grzegorz: 0419 358 035

ZAKŁAD POGRZEBOWY

- Tobin Brothers (biura czynne 24 godz. w całym Melbourne) Sunshine – Krystyna Popczyk Mob. 0438 355 771

Co słyhać w klubie Polonia w 2024 roku?

Nowy sezon, nowy zarząd, nowi zawodnicy, nowe nadzieje.

Witam serdecznie czytelników Tygodnika Polskiego jak również wszystkich kibiców, sympatyków i członków klubu piłkarskiego Western Eagles Polonia SC, a także sponsorów i potencjalnych sponsorów.

W październiku ub. roku na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym wybrany został nowy zarząd klubu na rok 2024 w składzie:

Piotr Marmura - Prezes
Sean Marevic & John Blicharz - zastępcy Prezesa

Wojtek Laskowski - Skarbnik
Monika Marevic - Sekretarz

Do komisji rewizyjnej wybrano Joe Gorynski i Franciszka Plata.

Rok 2024 rozpoczął się bardzo pracowicie dla nowego zarządu, a także wszystkich wolontariuszy. Oprócz prac związanych z przygotowaniem boisk i obiektów dookoła boisk i drużyn do nowego sezonu, klub, jak co roku, zorganizował turniej piłkarski POLONIA CUP, podczas 54. Polskiego Święta Sportowego w Polskim Klubie Albion.

W tym roku w turnieju Polonia Cup udział wzięła rekordowa liczba drużyn juniorów (aż 42 drużyny, od 8 do 16 lat). Rozegrano także rekordową liczbę meczów - 64 spotkania podczas 2,5-dniowych rozgrywek. Mecze rozegrały również drużyny kobiet, rezerw i naszych „oldboyów”.

Chciałbym podziękować wszystkim drużynom i zawodnikom za udział, za sportową rywalizację i za miłe słowa, jakie klub Polonia SC otrzymał od wszystkich za zorganizowanie takiego dużego turnieju piłkarskiego dla dzieci.



Janusz Przybyła, były zawodnik KS „Polonia” (obecnie Western Eagles FC), jeden z najlepszych napastników w historii klubu. W wiktoriańskiej Premier League w 1984 r. strzelił 23 gole (fot. FB Western Eagle FC)

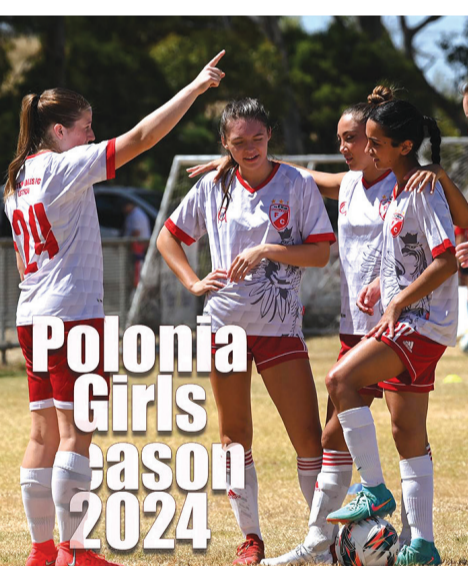
Poza drużynami męskimi (pierwsza i rezerwy) i kobiet – Polonię SC będą także reprezentować 5 drużyn juniorów (jedna z drużyn to dziewczynki do lat 11) oraz drużyna „oldboys”.

Apelujemy do naszych Rodaków o doping dla naszych drużyn – liczymy na Wasz liczny udział, zwłaszcza na domowych meczach na boisku w Polskim Klubie Albion. Prosimy także o wstąpienie w szeregi członków Klubu Polonia SC.

Nowy zarząd ma szereg planów, które, niestety, wymagają znacznych finansów i dotacji. Myślimy o dobudowaniu szatni dla naszych drużyn dziewczyn, kobiet i juniorów - to nasz priorytet na rok 2024/25. Dlatego zwracam się z wielką prośbą do właścicieli biznesów o sponsorat lub dotacje dla Polonii SC. Każda kwota się liczy i będzie mile widziana. Dzięki sponsorom i dotacjom nasz klub może dalej istnieć i podtrzymywać swoją 74-letnią historię. Z góry dziękujemy.

2024 Membership Together we're stronger!

<p>BRONZE \$100</p> <p>What's in it for you:</p> <ul style="list-style-type: none"> - Beanie - Car Sticker - Bronze lanyard 	<p>SILVER \$150</p> <p>What's in it for you:</p> <ul style="list-style-type: none"> - Car Sticker - Scarf or Beanie - Silver lanyard 	<p>GOLD – Premium \$200</p> <p>What's in it for you:</p> <ul style="list-style-type: none"> - Beanie - Car Sticker - WEFC Jumper - Gold lanyard 10% off all kiosk items 	<p>Family Membership \$250 (2 adults and 2 kids)</p> <p>What's in it for you:</p> <ul style="list-style-type: none"> - 2 WEFC jumpers for adults - beanie for kids - Gold lanyard (adults) - Red lanyard (kids) 10% off all kiosk items *additional items maybe purchased
---	--	---	--



Szczególne podziękowania kieruję do wszystkich wolontariuszy z klubu, którzy poświęcili dużo czasu, przed i podczas turnieju (czasami 16 godzin dziennie), aby mógł się on odbyć. Turniej zakończył się ogromnym sukcesem, rozstraiwając Polski Klub Albion i klub Polonia SC wśród naszych Rodaków zamieszkałych w Melbourne. Jesteście niesamowici!

Przed nami nadal mnóstwo pracy i planów, aby nasz klub, Polonia SC, wrócił na szczyt piłkarski w stanie Wiktoria. Już w piątek 22 marca rozpoczynamy rozgrywki w 3. lidze stanowej North West na własnym boisku w Albion o godzinie 20.30 – drużyna rezerw o 18.30 (szczegółowy terminarz naszych meczów załączony jest pod tym artykułem).

Oczywiście liczymy na awans do 2. ligi stanowej naszej męskiej drużyny, a także drużyny kobiet. Miło mi jest Państwa poinformować, że nasze dziewczyny uzyskały awans 2 sezony z rzędu i w 2024 roku także będą rywalizować w 3. lidze stanowej.



Cóż więcej? Zapraszamy do Polskiego Klubu Albion! Spędzisz z nami czas na świeżym powietrzu, spotkasz starych lub nowych znajomych, zjesz kiełbasę, wypijesz piwo lub coś innego, popierając tym samym naszą Polonię. Do zobaczenia.

Polonia! Polonia! Polonia!

Z poważaniem Piotr Marmura
Prezydent Western Eagles Polonia SC

PS. Więcej informacji o członkostwie lub sponsorowaniu klubu możesz uzyskać na naszej stronie FB lub pod numerem 0409 329 029 albo email: president.wefc@gmail.com

Season Fixture: Western Eagles SC (Men's State League 3 North-West) NORMAL SEASON

RND	DATE	TIME	VENUE/COURT	OPPOSITION
1	05.04.24 Fri.	20:30	Langama Park - Pitch 1	Sunbury United FC
2	13.03.24 Sat.	18:30	Polish Sports & Recreation Complex - Pitch 1	Epping City SC
3	20.04.24 Sat.	15:00	James Reserve	Heidelberg Eagles SC
4	27.04.24 Sat.	17:00	Saltwater Reserve Pitch 1	Point Cook FC
5	04.05.24 Sat.	18:30	Polish Sports & Recreation Complex - Pitch 1	Brunswick Zebras
6	11.05.24 Sat.	18:30	Polish Sports & Recreation Complex - Pitch 1	Bundoora United FC
7	18.05.24 Sat.	18:00	HD Graham Reserve	Laverton FC
8	25.05.24 Sat.	15:00	Duane Reserve	Altona North SC